MAGAZYN PROBLEMOWO INFORMACYJNY

Do siego Roku

SIGMA

POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

W NUMERZE:

GŁOS O SAMORZADZIE.....s. 2
PLANY INWESTYCYJNE
POLITECHNIKI....." 3
PŁYŃ ZUPO MOJA....." 4
HOTEL ASYSTENTA-PO ROKU....." 4
INFORMACJA O INFORMACJI....." 5
XVIII PRZEDKONGRESOWA....." 6
STUDENTKA W PARYŻU....." 8
PRZEZ DZIURKE OD KLUCZA....." 9
RADOSNE SALDO CZY
ZŁOWROGA SUPERATA?....." 10
CZY TYLKO DUCH OCHOCZY....." 10
WSTAP W SZEREGI AZS -
TO TWÓJ KLUB....." 12
JUBILEUSZOWE DYWAGACJE....." 14
NOWOROCZNE REMANENTY....." 14
LEKTURY NIEOBOWIAZKOWE....." 15
BYŁA RAZ BIBLIOTEKA....." 16
WOJCIECH SIEMION WE WROCŁAWIU." 17
O DACH NAD GŁOWA....." 18
SIGMA informacji....." 18
BAKTERIE CONTRA FENOL....." 20
KONGRESOWE WSPOMINKI....." 21
HENRYK WORCELL-
PISARZ AUTENTYCZNY....." 21
DWIE STARSZE PANIE....." 22

Na początek pewne wyjaśnienie. Przy czytaniu tego artykułu proszę P.T.Czytelników, aby traktowali go jako mój osobisty pogląd na problem samorządności studenckiej, może jako pierwszy głos w dyskusji nad kształtem, a przede wszystkim potrzebą samorządu, w żadnym zaś wypadku jako receptę na pewne rozwiązania tego zagadnienia.

Jet tak z wielu powodów:
- problem historycznie nienowy wypłynął u nas przed paru miesiącami;
- nie ogarniam tych spraw należycie w ramach Uczelni;
- nasza Uczelnia przechodząca na strukturę instytutową wymaga zupełnie pionierskich rozwiązań.

Zielone światło samorządności studenckiej zostało zapalone w Tezach na V Zjazd: "Należy stworzyć warunki szerszego uczestnictwa i współodpowiedzialności młodzieży studiującej w rozstrzyganiu spraw dotyczących toku i warunków jej studiowania".

Tak rozumiany sens samorządu jest niezwykle szeroki. No bo tok i warunki studiowania - to zarówno hamburgery w stołówce, jak i seminarium O Bardzo Mądrej Nazwie.

Politechnika stworzona została między innymi i poto,żeby co semestr wypuszczać iluś tam inżynierów. Przygotowanie zaś potencjalnych inżynierów do - najogólniej mówiąc - pracy, to nie tylko sprawa władz Uczelni, ale i ich samych. Naszą pierwszą, choć nie jedyną rzeczą - jest uczyć się.Z jak największym pożytkiem dla siebie, więc i dla społeczeństwa. Odwrócenie tej kolejności też jest słuszne. A drugie - to wychowywać. Samych siebie i innych. Jakakolwiek forma współodpowiedzialności i uczestnictwa młodzieży akademickiej jest dobra, o ile przybliża osiągnięcie tych dwóch celów: najpełniejszego wykształcenia i socjalistycznego wychowania. Czy poprzez samorząd zdoła się to osiągnąć? Będzie to zarazem próba uzasadnienia. Oczywiście, sprawy nauki i wychowania trzeba rozpatrywać łącznie.

głos o samorządzie

CO TO MA BYĆ?

Koncepcja pierwsza: studencka straż pożarna. Wyobraźmy sobie następującą sytuację: początek semestru, zaczyna się wykład z przedmiotu, o którym wiadomo, że rokrocznie oblewa go w I-szym terminie najmniej połowa zdających. Co w tej sytuacji robi organ samorządowy - Rada Roku? Zwołuje zebranie roku, zapadają ważkie decyzje:
- Należy uczęszczać na wszystkie wykłady.
- Należy przeprowadzać comiesięczne konsultacje z pomocą asystentów.
- W sesji trzeba utworzyć grupy samokształceniowe.
- Trzeba pomagać koleżankom i kolegom słabszym.

Zadziałali. Przychodzi sesja i egzaminy oblewa 20-30 % podchodzących, a ponadto o ileś tam procent zwiększył się odsiew (z tych czy innych względów) z innych przedmiotów. I co? Półśrodki. Rozkoszy nie dał, dziecko na świat sprowadził.

Koncepcja druga: samorząd władny.

Po zakończeniu semestru komisja samorządowa zbiera wśród studentów dane dotyczące ich nauki w ś w i e ż o zakończonym okresie: opinie o wykładzie, o ćwiczeniach, o dostępności podręczników, ich jakości, o ilości czasu,który poświęcili na naukę, na przygotowanie do egzaminu, o wymaganiach egzaminatora i inne istotne parametry. Następuje opracowanie tych danych, a następnie - konfrontacja z kierownikami zajęć dydaktycznych na spotkaniach roboczych. Wreszcie wnioski zostają przekazane do Rady Wydziału (w której naturalnie są przedstawiciele młodzieży) i po przedyskutowaniu uchwalone stają się obowiązującym regulaminem. Teraz można zrobić zebranie roku ...

To tylko jedna z możliwości funkcjonowania samorządu.Jest ich, jak sądzę, wiele. A co to daje? Realizujemy program, u którego początków była idea ścisłej współpracy kadry nauczającej i studentów; istnieją więc wszelkie warunki ku temu, by nie ustawała ona i podczas kontynuacji.

W JAKI SPOSÓB?

Rozmaicie będzie to wyglądać w zależności od - nazwijmy to tak - szczebla: inaczej w grupie, inaczej, gdy chodzi o całość Uczelni. Zadania, kompetencje współuczestnictwa, będą więc tu różne.

Grupa studencka:

Składa się z około 30 osób, możliwe jest tu właśnie najbardziej bezpośrednie oddziaływanie i tutaj będzie następować praktyczne sprawdzenie przydatności samorządu. Najbliżej studentów obchodzące sprawy nauki (prowadzenie ćwiczeń, kollokwia, laboratoria) koncentrują się tutaj, są to więc pierwszoplanowe zadania samorządu w grupie. Wydaje się celowym nadanie pewnych obowiązków posiadanych przez asystentów (administracyjnych zwłaszcza) np. staroście grupy.

Rok studiów:

Rada roku powinna mieć w swoim ręku pewne uprawnienia dotyczące przyznawania stypendiów i świadczeń materialnych.Poprzez podsumowania (omówienia) sesji, "dużych" kollokwiów, wysuwanie dezyderatów do kierowników zajęć itp.wpływ na proces dydaktyczny.

Instytut:

Skupia przekrój studentów wszystkich lat studiów. Możliwe jest stymulowanie pewnych zmian, zróżnicowań w odniesieniu do lat młodszych (2-3). Pomijam tu rok pierwszy,ponieważ nie można wymagać od kogoś nie znającego dobrze własnego wydziału, by momentalnie obierał (po roku już można) specjalizację. Instytutowy organ samorządowy powinien przede wszystkim umożliwiać studentom rozwijanie własnych zamiłowań naukowych i pogłębianie ich.

Wydział:

Samorząd powinien stać się partnerem władz wydziału, istotnie wpływać na wszystko, co się na wydziale dzieje. Inny aspekt działalności - to koordynacja pracy organizacji młodzieżowych.

Uczelnia:

Wydaje się bardzo ważnym, aby studencki samorząd posiadał wpływ na pewne decyzje o charakterze przyszłościowym,np. rozbudowa bazy socjalnej (DS-ów, stołówek, boisk, klubów).

Pominąłem celowo istniejący już organ samorządności akademickiej, mianowicie Rady Mieszkańców. Zgodzą się ze mną wszyscy, a zwłaszcza świadkowie żałosnego zebrania z ustępującą w październiku ub.r. Radą Mieszkańców, T-4, że jest to osobny temat do dyskusji.

STAN I PROGNOZY

Jakiś kształt współuczestniczenia młodzieży na naszej Uczelni już się realizuje. Należy stwierdzić, że dość schematycznie: istnieją trzy organizacje ZSP, ZMS, SNS, więc organy samorządowe powinny składać się z przedstawicieli tych organizacji. O ile jest to koncepcja słuszna w odniesieniu do szczebla Uczelni czy wydziału, o tyle w stosunku do roku czy grupy należy szukać innych rozwiązań.

Posiadanie przez ZMS i ZSP wyspecjalizowanych komisji umożliwia faktyczne i operatywne działanie samorządu uczelnianego czy wydziałowego. Działalność tych organizacji tutaj powinna być koordynowana i korygowana. Na ten udział należy położyć szczególny nacisk, bo w przeciwieństwie do roku czy grupy, gdzie pewne formy samorządności już od dawna istnieją, brakowało ich na wydziałach i we władzach Uczelni.Nie można natomiast stwarzać samorządu roku czy grupy poprzez zwykłe oddelegowanie "człowieka". To jest sfera bezpośredniego, namacalnego oddziaływania i muszą studentów reprezentować koledzy oczywiście najlepsi, cieszący się największym i autentycznym zaufaniem. W instytutach pierwsze skrzypce winny grać koła naukowe.

Jak należy przewidywać dalszy rozwój? A może ostrożniej byłoby napisać: jakiego rozwoju należałoby sobie życzyć? Utworzenia naprawdę przedstawicielskich organów młodzieży,uzyskania przez nie istotnych praw, rzeczywistego wpływu na nasze sprawy.

Ale to jest nie do zrobienia przy takim jak obecnie zainteresowaniu nas samych, studentów. Odnoszę wrażenie,że bardziej na stworzeniu form współuczestnictwa młodzieży zależy kierownictwu szkoły niż samym studentom. Nie ma na ten temat dyskusji, nie poruszono go (poza dyr. Penkalą) na Plenum RU ZSP 19 listopada.

A Kołłątaj miał 26 lat gdy reformował Akademię Krakowską.

JERZY MAGER

W nowym 1969 roku, pomyślności w nauce, pracy i w życiu osobistym

życzy

Kierownictwo Uczelni

KU PZPR

RZ ZMS

ZU ZMS

RU ZSP

PLANY INWESTYCYJN E POLITECHNIKI

becna baza lokalowa Uczelni nie zabezpiecza nowo powstałym instytutom warunków, jakie potrzebne są dla ich rozwoju w założonej działalności. Kierownictwo Uczelni czyni usilne starania, by w możliwie najkrótszym czasie doprowadzić do powiększenia bazy materialnej Szkoły.

Zrealizowanie najpilniejszych potrzeb inwestycyjnych w okresie 5 - 7 lat pozwoliłoby na rozładowanie nadmiernie zagęszczonych pomieszczeń, stworzyłoby warunki, w których każdy instytut znalazłby pomieszczenie we własnym budynku.

Mimo poważnych trudności występujących w skomplikowanym procesie przygotowania inwestycji do realizacji, za realne uważać należy możliwość uzyskania do roku 1975-77 następujących nowych obiektów dla instytutów:

1. Budownictwa
2. Inżynierii Lądowej
3. Chemii Nieorganicznej i Pierwiastków Rzadkich
4. Cybernetyki Technicznej
5. Technologii Organicznej
6. Metrologii Elektrycznej
7. Telekomunikacji i Akustyki
8. Geotechniki
9. Górnictwa
10. Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Cieplnych
11. Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn
12. Technologii Budowy Maszyn
13. Miernictwa, Automatyzacji i Bud. Urządzeń Termoenergetycznych
14. Maszyn i Urządzeń Hydraulicznych
15. Technologii Nafty i Węgla
16. Technologii Elektronowej.

Realność zrealizowania tych zamierzeń inwestycyjnych w znacznej mierze gwarantuje przyjęcie przez Uczelnię zasady prowadzenia budowy w oparciu o już opracowane projekty innych uczelni lub instytutów. Na zrealizowanie planu jak wyszczególniono wyżej, potrzebne są nakłady finansowe rzędu - 400 mln zł.

Politechnika posiada już zapewnienia dotacyjne w formie umów i porozumień z zainteresowanymi fundatorami na sumę około 150 mln zł (poza resortem Oświaty i Szkolnictwa Wyższego). Należy więc pozytywnie ocenić dotychczasowe zabiegi Uczelni w tym zakresie.

Nowy Gmach Elektroniki fot.A.Milli

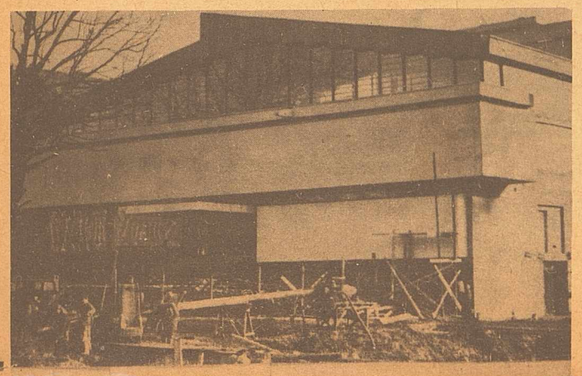

O wiele trudniejszą sprawą będzie zabezpieczenie pełnego wykonawstwa tych inwestycji w postulowanych terminach. Przy stale występującym jeszcze deficycie mocy przerobowej Wrocł. Przedsiębiorstw Budowlano-Montażowych nie jesteśmy w stanie przewidzieć, czy wszystkie postulowane inwestycje uda się zrealizować do 1975-77 r. Tym bardziej, że oprócz budownictwa dydaktycznego, winniśmy równolegle zabezpieczyć zaplecze bytowe dla studentów i pracowników naukowych. Potrzeby w tym zakresie są również niemałe.

Plan potrzeb socjalnych Uczelni obejmuje takie pozycje jak: budowa domów studenckich, stołówek, hotelu asystenckiego, obiektów sportowych, ośrodków wypoczynkowych i wypoczynku świątecznego. Te pozycje wymagają nakładów finansowych rzędu 160 mln zł i równoległego pokrycia wykonawstwa.

Z kredytów Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego aktualnie planem inwestycyjnym objęta jest stołówka na 2000 obiadów i sale gimnastyczne z terminem podjęcia budowy w roku 1970. Ustalany jest również plan realizacji domów studenckich. Staraniem Kierownictwa Uczelni, Prezydium Rady Narodowej przekaże Politechnice jeszcze w roku 1968 stadion sportowy Klubu Budowlanych. W porozumieniu z WKKF w roku 1969 Uczelnia przystąpi do zagospodarowania stawu-kąpieliska w miejscowości Osola koło Obornik Śląskich na Ośrodek Wypoczynku Świątecznego.

Pozostałe z wymienionych pozycji socjalno-bytowych nie mają jeszcze wiążących akceptacji Resortu, niemniej zabiegi Uczelni idą w kierunku zrealizowania tych potrzeb jako planu minimum. Inwestycje dydaktyczne lokalizowane będą w zasadzie na tzw. terenach "A" tj. za budynkami Elektrycznym i Sanitarnym na Placu Grunwaldzkim i obecnymi starymi gmachami Szkoły. Na terenach "B" - Sępolno-Biskupin - zrealizowane będą inwestycje socjalne.

Dyrektor d/s Inwestycji
inż. Janusz Zygmunt

fot. Z. Zieniewicz

PŁYŃ ZUPO MOJA...

Społeczność akademicka naszej Uczelni w znacznej swojej części zetknęła się ze stołówką studencką, lub też systematycznie z niej korzysta. Przedstawiam swoje refleksje, spostrzeżenia i obserwacje poczynione w jednej z większych stołówek Politechniki - stołówce nr 31 na Podwalu.

Przeglądałem bez przekonania ostatnią stronę gazety; informacje na niej zawarte nie napawały optymizmem na przyszłość. Zainteresowała mnie natomiast bardziej rozmowa, którą prowadzili towarzysze z mojego stolika. Siedzieliśmy oddzieleni czystą powierzchnią stołu, na którym czerwone kwiaty kontrastowały z białymi serwetkami. Łączyło nas półgodzinne oczekiwanie na obiad. W pewnym momencie zacząłem z zainteresowaniem przysłuchiwać się ich rozmowie:

— Wiesz stary, w jaki sposób kazano mi się dostać do tej stołówki? - rzucił pytanie jeden z nich i zaraz sam udzielił odpowiedzi.- Zostałem poinformowany, że trzeba przyjechać tramwajem w okolice Dworca Świebodzkiego, a stamtąd - to już trafię; muszę tylko wybrać poniedziałek, aby chwycić "cug". Zapytałem, co to jest takiego "cug", ale odpowiedziano mi, że jak będę na miejscu, to sam się dowiem. Istotnie, w poniedziałek będąc w okolicach Dworca Świebodzkiego w pewnym momencie poczułem zapach ryby. Teraz nie miałej już najmniejszej wątpliwości: chwyciłem "zug". Zbliżałem się do strefy coraz silniejszego rybiego zapachu. W stołówce odniosłem wrażenie, że znajduję się wśród dorszy lub im podobnym łuskowatych stworzeń. Było to tylko zresztą pierwsze wrażenie, gdyż manewrując koło kilku stolików zauważyłem również inne dania, a przecież spodziewałem się tylko ryb.

W stołówce zrobił się nagle szum; krótka chwila - i w kolejce stało już kilkanaście osób, a następne błyskawicznie dołączały; my także zajęliśmy w niej miejsce.

Kiedy drewniana zasuwa podniosła się do góry i została zablokowana, nastąpiło przywitanie z personelem kuchni, ale bez słów. Panie w białych fartuchach uśmiechały się tak, jakby ugotowały coś bardzo smacznego, a kilkadziesiąt twarzy patrzących w ich kierunku starało się wypatrzeć obiad. To było najbardziej interesujące.

Kolejka bardzo szybko posuwała się do przodu. Stałem niedaleko od okna, gdzie wydaje się posiłki. Na ścianie - wysoko, prawie pod sufitem (tak, aby każdy przeciętny zjadacz chleba mógł dostrzec) wiszą dyplomy wskazujące miejsce, jakie zajęła stołówka we współzawodnictwie. Niżej znajduje się wielka tablica informująca, co jest na obiad, co było na śniadanie i co będzie na kolację, skład Komitetu Stołówkowego, no i wreszcie - "książka porozumień", w której można wpisać, co się konsumentowi podoba - o stołówce; to ostatnie ma być wskazówką dla Komitetu Stołówkowego, jak działać.

Po tym wizualnym przeglądzie ledwie zdążyłem chwycić widelec, łyżkę i nóż, gdy znalazłem się przed obliczem groźnie spoglądającej na mój bloczek pani. Przebiegł mnie strach, że mogłem podać niewłaściwy i ta szczupła kobieta nakrzyczy na mnie. Odetchnąłem, kiedy pani odkładała sprawdzony bloczek, ale nie zdążyła położyć, krzyknęła: "co się pan zastanawia - szybciej, szybciej". Zapomniałem nawet, o jakie danie chciałem prosić; wziąłem więc to, co było pod ręką i odszedłem jak zmyty.

Kolejka szybko topniała; za chwilę panie kucharki będą mogły powycierać ręce i chwileczkę odpocząć. "Ciężki to zawód" - pomyślałem i przypomniałem sobie, że tak bardzo chciałem dziś na obiad zjeść pieczeń.

Przychodzą również do stołówki i w godzinach późniejszych, jeżeli dłużej odbywają się zajęcia; interesuje mnie też, co jedzą i jak jedzą ci ostatni.

Wtedy również zastaję kolejkę, która biegnie nieomal dookoła sali. Wiem jednak, że to długo nie potrwa i za około 10 minut otrzymam obiad. Przesuwająca się naprzód kolejka oprowadza mnie po sali; mimo woli zwraca uwagę stopień czystości. Powierzchnie stołów mają już tylko pojedyncze miejsca, w których się lśnią; jest za to mnóstwo śladów roztartego pożywienia. Ktoś dociekliwy mógłby przeprowadzić analizę i wykazać, z czego składał się posiłek. Wcale nie do rzadkości należy, że sprzątająca zgarniając ze stołu resztki obiadu (pomijając fakt, że robi to bardzo niedokładnie), zrzuca je na siedzenia krzeseł. Przyznam, że nie widziałem, aby praca związana z wycieraniem stołu wyglądała inaczej.

Będąc już niedaleko okienka wybiera sobie człowiek narzędzia, którymi ma zjeść to, co mu dadzą. Łyżki, widelce, noże - o tej porze zazwyczaj są tłuste a grubość tej warstewki zależy od jakości obiadu; można tu przyglądając się uważniej (nie rób tego lepiej - stracisz apetyt) znaleźć ślady tego, co nie zjadł twój poprzednik.

Obiad o późnej porze - to już nie wybór, ale odebranie tego, co dadzą. Kilka razy (początkowo) nie dowierzałem, że jest tylko jedna zupa i jedno danie; myślałem, że zaszła jakaś pomyłka, ale skąd! To ja się myliłem; moje pytania spotkały się z jednoznaczną odpowiedzią: "nie!" albo "nie ma" a potem: "proszę prędzej!"

Obiad zjedzony na zasadzie: wybrać większe czy mniejsze zło (mniejsze - tzn. zjeść) - leży w żołądku dość długo, bo i żołądek nie chce podjąć się tak ciężkiej pracy. Wspominam o tym, ponieważ stołówki studenckie są wielokrotnie głównym powodem chorób takich jak: wrzody żołądka, dwunastnicy, nadkwasota. Jak twierdzą lekarze wpływają na to trzy czynniki:

1. zbyt pikantnie przyrządzany obiad;
2. nieestetyczne podanie;
3. konsumowanie w pośpiechu.

Śniadania w stołówkach studenckich nie budzą większych zastrzeżeń, z wyjątkiem dni, kiedy jest ser tylżycki; słyszy się wtedy ciche sarkania, a przy zwrocie naczyń nierzadko spotkać można nietknięte porcje. Na śniadaniu panuje zazwyczaj niezwykły pośpiech; zapomina się o estetyce, cieszy jedynie fakt, że zostało się szybko obsłużonym i że można zdążyć na zajęcia.

Nie mieszkam w akademiku nad fosą, przyjeżdżam tu lub przychodzę na posiłki. Mam więc trochę czasu na to, aby zajrzeć na tablicę i sprawdzić, co też dostanę dziś na obiad, kolację ...

Po kilkukilometrowej jeździe tramwajem (mieszkam w DS "Atol") wysiadam, aby przemierzyć jeszcze kilkusetmetrowy odcinek drogi. Był listopadowy wieczór; wiał wiatr i krople deszczu zacinały po twarzy. Śpieszyłem na kolację, ponieważ

HOTEL ASYSTENTA PO ROKU

Dla wszystkich jest rzeczą oczywistą, że inicjatywa wybudowania Hotelu Asystenta była jak najbardziej na czasie. Dynamiczny rozwój szkolnictwa wyższego we Wrocławiu, szybki wzrost ilości pracowników zatrudnionych na uczelniach - zwłaszcza ludzi młodych - stwarzał poważny problem socjalno-bytowy. Czy i w jakim stopniu problem ten został rozwiązany? Na pytanie to, po zapoznaniu się z faktami, będzie mógł czytelnik odpowiedzieć sam.

Lokalizując dom asystenta przy moście Szczytnickim - Zarząd Inwestycji Szkół Wyższych zapomniał o nasilającym się z roku na rok ruchu pojazdów mechanicznych. Już obecnie wielu mieszkańców uskarża się na brak warunków nie tylko do spokojnej pracy ale i wypoczynku (akustyka pokoi) - a co będzie za kilka lat? Z drugiej strony - obecna lokalizacja budynku w rejonie placu Grunwaldzkiego jest korzystna dla większości pracowników Politechniki, WSR, Uniwersytetu i WSE.

Budowę domu i moment przekazania go pod administrację Politechniki prasa wrocławska powitała z uznaniem i entuzjazmem. Jednak znacznie mniej entuzjazmu zawierały późniejsze rzeczowe artykuły. Wymowne tytuły w Słowie Polskim: np. "Klasztor kamedułów czy dom dla pracowników nauki?" z 4.X.1967 r. "Hiszpański klasztor czy dom asystenta", "Proporcje" - świadczyły, że sprawa Hotelu Asystenta nie wygląda zbyt dobrze. Od ukazania się wymienionych publikacji upłynęło ponad rok ... Rzeczowa i słuszna krytyka prasowa w myśl obowiązujących przepisów winna być wnikliwie rozważona a postulowane zmiany szybko wprowadzone w życie. W przypadku Hotelu Asystenta wszystko pozostało po staremu (tzn. jak na początku) - mieszkańcy chcieliby wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za ten stan rzeczy.

Rozważmy choćby sprawę wewnętrznego regulaminu. Nieżyciowy, narzucony przez administrację regulamin obowiązujący nie tylko mieszkańców ale i ludzi z zewnątrz uległ niewielkim zmianom. Są to raczej inne sformułowania tych samych, poprzednio krytykowanych, zasad. I tak obowiązek pozostawiania legitymacji na portierni, zakaz pozostawania w pokoju - przykładowo: narzeczonej - po godzinie 22^{00}, ograniczenie zamieszkiwania najwyżej do trzech lat - wszystkie te przepisy zostały zachowane. Niezależnie od tego regulamin powiększył się o szereg zakazów, obowiązków i nakazów. Natomiast w regulaminie nie ma słowa o trzech mieszkaniach wyposażonych w kuchnie z piekarnikami, wanny itp. - ciekawe, kto ma prawo korzystać z tych luksusów.

Jedno z takich mieszkań (drugie piętro) zamieniono dzięki staraniom samorządu na "klub telewizyjny" (kilkanaście miejsc na trzystu mieszkańców). Pozostaje tylko pytanie, czy wieczorem można kąpać się w wannie? - telewidzowie mieliby dodatkowe atrakcje - tego też nie ma w regulaminie.

W pierwszych artykułach prasowych krytykowano brak szafek żywnościowych, małe szafy ubraniowe (bez górnego segmentu), brak półek toaletowych, brak luster przy umywalkach i inne rzeczy. Obecnie, po roku - z listy braków można wykreślić jedynie lustra, a co z resztą? - zapewne brak funduszy.

dochodziła ósma, a więc koniec pracy stołówki.

W stołówce było ciepło i przytulnie. Aby się nie spóźnić, nie zdjąłem nawet płaszcza i podszedłem do okienka po swoją należność. Pani "z okienka" do leżącej porcji masła na talerzu dorzuciła kanciasty kawałek marmolady. Masło poczęło się wić po talerzu. Zrozumiałem reakcję; po prostu topiło się pod wpływem ciepła talerza. Aby mieć już ze mną spokój, kucharka dołożyła jeszcze trzy kromki chleba. Ilość masła i marmolady jakoś mi nie grały; masła miało być dwa a marmolady - 7 dkg. Pomijając już ciężary właściwe tych ciał, porcja marmolady była prawie równą porcji masła. Musiała zaistnieć jakaś pomyłka. Tylko problem - w którą stronę: czego więcej a czego mniej? Założyłem więc, że marmolady jest za mało, a troszkę więcej jest masła. Założenie było dla mnie o tyle dobre, że nie musiałem ważyć, a poza tym nie lubię marmolady.

Marmolady także nie lubi mój kolega, do którego się przysiadłem, a który także przyjechał z innego akademika. Był bardzo zły, że go oszukano i niepotrzebnie zmarnował tyle czasu; byłby zrezygnował z kolacji. A nie zrobił tego, gdyż będąc na obiedzie przeczytał na tablicy, że na kolację dostanie kiełbasę. Niestety, takie rozbieżności zdarzają się częściej, a dla osób, które dojeżdżają, nie jest to znowu tak bardzo obojętne. Trudno przecież wymagać, aby ktoś jadł to, czego nie lubi.

Stołówka kończyła pracę, toteż porządek (w szczególności na stołach) pozostawiał wiele do życzenia. Aby przekonać się, czy nie był to dzień wyjątkowy, przyszedłem o tej samej porze na drugi dzień! Widok był zgoła idylliczny; białe niegdyś - teraz zużyte serwetki, niczym jesienne liście przemieszczane jakimiś tajemniczymi podmuchami, zmieniały ciągle swoje położenie. Natychmiast domyśliłem się, że dziś na kolację - kaszanka. Krupy kaszy rozsypane po stole, rozlana herbata - wszystko to wskazywało, że za chwilę otworzy ktoś z obsługi okna i zagwiżdże na gołębie zapraszając je na biesiadę. Rozlewanie herbaty, kawy, czy też innych płynów po stołach - to nie tylko wynik niskiej kultury konsumenta, ale przede wszystkim - huśtania się stolików. Raz byłem świadkiem zapobiegania temu:

Przy stoliku siedzi trzech facetów; wydają się być niezadowoleni (jak się później okazało - ze stolika). Kiedy jednak wchodzą w grę techniczne trudności, technik nie usiedzi i nie poprzestanie na niezadowoleniu. Działa więc. Nasz bohater chwycił ze stołu leżący nóż, wyciągnął lekko przed siebie, przymrużył oko i gdy ocena wypadła pozytywnie, zgiął się i włożył nóż w szczelinę pomiędzy posadzką a nogą stołu. Nóż mógł tylko swoim odblaskiem i napisem PSS zaprotestować: "nie tu moje miejsce". Autor pomysłu sprawdził jeszcze działanie wynalazku próbując potrząsać stołem; ani drgnął. Koledzy byli zachwyceni, a jeden poklepał go nawet po ramieniu dodając: "masz łeb, stary, masz łeb!"

Po przedstawieniu obrazków tego typu ktoś może dojść do wniosku, że w stołówce nie ma dyżurnego. Dyżurny jednak jest a czasami - nawet kilku. Siedzą przy stoliku i o czymś bardzo zajmującym rozmawiają.

Pomimo obiadowej pory w szatni nie było nikogo, a tak na pastwę losu zostawiać swego okrycia nie chciałem, bo raz ktoś mi wyciągnął z kieszeni rękawice. Położyłem więc płaszcz obok siebie na krześle. Dyżurny zjawił się dość szybko i zażądał, abym odniósł płaszcz do szatni. Powiedziałem, że odniosę, ale pod warunkiem, że któryś z nich tam podyżuruje. "Dyżur w szatni do nas nie należy" - odparował stanowczo. -A płaszcz proszę jednak odnieść.

Nieraz dyżurni zapominają o swych obowiązkach i dosiadają się do swoich jedzących kolegów, a częściej koleżanek - po to, aby szybciej płynął czas pracy. Zapominają, że mają przede wszystkim bronić interesów konsumenta. Wcale nie do rzadkości należy fakt, że dyżurny gdzieś znika, a wszyscy rozkładają ręce i nie wiedzą, gdzie może być.

Najrozmaitszych niedopatrzeń, wynaturzeń i nieporozumień można się doszukiwać dookoła, próbować o nich pisać mniej lub bardziej udolnie. Cel jednak, jaki pozostaje do spełnienia jest jeden: środki finansowe, które państwo przeznacza na stołówki studenckie, nie mogą być marnotrawione, ba - powinny być wykorzystywane jak własne. Każdy stołujący się dostrzeże to i oceni. Niestety, innej oceny stołówki przez konsumenta nie może być jak ta, czy posiłek jest smaczny, kaloryczny i estetycznie podany. Szybkość wydawania porcji jest rzeczą ważną, ale nie najważniejszą i o tym trzeba pamiętać - szanowny Komitecie Stołówkowy.

KAZIMIERZ BARANIECKI

Aby pozostać obiektywnym, należy powiedzieć, że urządzenia socjalne dobrze służą mieszkańcom. Drobne uzupełnienia w toaletach, prysznicach, pralniach i kuchniach ostatecznie rozwiążą sprawę. Chodzi przede wszystkim o szafy kuchenne na drobny sprzęt gospodarczy.

Jak słusznie przewidywano (poza inwestorami, projektantami i wykonawcami) palącym jest problem szczupłości miejsca w pokojach (12 m^2 na dwie osoby) brak klubo-kawiarni i sali telewizyjnej. Mieszkańcy uważają, że jeżeli nie obecnie, to w przyszłości pokoje winny być jednoosobowe wyjątkowo - dwuosobowe; rozwiązałoby to problem szczupłości miejsca do pracy i życia.

Zapomniano całkowicie o pomieszczeniach służących mieszkańcom do nauki, kultury i sportu. Pod tym względem Hotel Asystenta daleko ustępuje domom studenckim, które również są miejscem czasowego zamieszkania ludzi pracujących i uczących się.

Oczywiście nie chodzi o przebudowę domu; można natomiast - i to jak najszybciej- uzyskać w piwnicach duże pomieszczenie na salę telewizyjną a kosztem niewielkich inwestycji urządzić klubo-kawiarnię z prawdziwego zdarzenia. Bardziej śmiały projekt postuluje dokonanie w przyszłości inwestycji poważniejszej tzn. dobudowanie brakujących pomieszczeń socjalno-kulturalnych w miejscu obecnej portierni.

Wysuwając szereg uwag i propozycji pod adresem Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych oraz Administracji Politechniki Wrocławskiej wyrażamy uznanie dla pracy Kierownika Hotelu Asystenta - pani Marty Bisz.

JERZY WERTELNIK

INFORMACJA O INFORMACJI

Nauka dostarcza codziennie ogromne ilości informacji, lecz aby mogła się rozwijać, sama potrzebuje systematycznego dopływu informacji - informacji o tym, co się aktualnie w świecie w zakresie poszczególnych dziedzin i dyscyplin naukowych dzieje, jak również o tym, co już zostało w bliższej lub dalszej przeszłości zrobione. Istnieje stała potrzeba systematycznego przepływu informacji - zarówno w obrębie samej nauki, jak również wzajemnie pomiędzy nauką a działalnością praktyczną człowieka.

Przekazywanie informacji istniało zawsze, odkąd istnieje nauka, lecz z upływem czasu zmieniały się formy i środki przekazu. Najpierw bezpośredni kontakt człowieka z człowiekiem, nieco później forma korespondencyjna, a po wynalezieniu druku - publikacje książkowe. Formy te nie straciły do dnia dzisiejszego nic ze swej aktualności, lecz okazały się już kilkaset lat temu niewystarczające.

Prawdziwie przełomowym momentem w zakresie przekazywania informacji było pojawienie się w 1665 roku pierwszego w świecie czasopisma naukowego. Już od trzystu lat z "wynalazku" tego korzysta nauka, a liczba ukazujących się czasopism o charakterze naukowym i technicznym rośnie w niewiarygodnym tempie. Historycy nauki wskazują na wykładniczy charakter tego wzrostu, podając m.in. następujące cyfry: w roku 1750 istniało 10 tytułów, w 1800 - 100, w 1850 - 1000, w 1900 - 10000 i - jak twierdzą niektórzy - liczba ta zbliżała się w roku 1950 do 100.000. Jeżeli do tych obliczeń wprowadzimy pewne poprawki, biorąc pod uwagę wartość naukową ukazujących się czasopism, to będziemy mogli z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, że w chwili obecnej ukazuje się w świecie, w zakresie wszystkich dziedzin nauki i techniki, około 30.000 tytułów wartościowych czasopism naukowych, publikujących ok. jednego miliona wartościowych artykułów rocznie. Z tej liczby kilkanaście tysięcy tytułów czasopism przypada na nauki przyrodnicze i techniczne.

Nieprzerwany wzrost literatury czasopiśmienniczej, i nie tylko czasopiśmienniczej, spowodował, że już od dawna żaden pracownik naukowy nie jest w stanie samodzielnie prześledzić ukazujących się w świecie dokumentów piśmienniczych, nawet w zakresie nieraz bardzo wąskiego wycinka wiedzy. Problem ten zaznaczył się już w niektórych dyscyplinach przeszło sto lat temu i przyczynił się do powstania pochodnych czasopism informacyjnych - czasopism, które dzisiaj określa się najczęściej mianem przeglądów dokumentacyjnych, abstraktów, wydawnictw referatowych czy też bibliografii analitycznych. Powstanie tych wydawnictw, torujących pracownikom nauki i innym użytkownikom drogę do ukazującej się w świecie literatury naukowej i technicznej, było następnym "kamieniem milowym" na drodze rozwiązywania problemu informacji.

Pierwsze tego rodzaju czasopismo powstało już w roku 1830, kilka następnych na przełomie XX w., lecz prawdziwą karierę czasopisma te zaczęły robić dopiero po drugiej wojnie światowej. Wiąże się to z tworzeniem przy różnych instytucjach i stowarzyszeniach naukowych Ośrodków dokumentacyjnych, których zadaniem jest bieżące przeglądanie literatury z określonych dziedzin, jej selekcjonowanie, opisywanie, klasyfikowanie i rozpowszechnianie tak opracowanej informacji w formie czasopism dokumentacyjnych lub bibliograficznych.

Przykładem tego rodzaju ośrodka, organizowanego od 1953 roku na nienotowaną dotychczas skalę, jest Wszechzwiązkowy Instytut Informacji Naukowej przy Akademii Nauk Związku Radzieckiego - znany pod nazwą skrótową VINITI. W ośrodku tym 1000 pracowników naukowych przegląda systematycznie 17.000 czasopism naukowych z całego świata oraz 100.000 opisów patentowych rocznie. Współpracuje z nimi ponad 20.000 pracowników naukowych rozsianych na terenie całego kraju. Wspólnie opracowują oni rocznie ponad 800.000 dokumentów piśmienniczych, a wynik tej pracy publikowany jest w znanym powszechnie czasopiśmie informacyjnym "Referativnyj Żurnal", ukazującym się w 164 zeszytach tematycznych, a także w formie 25 serii zbiorczych. Rejestrowane w nich jest piśmiennictwo 108 krajów, ukazujące się w 64 językach (dane za rok 1968). Czasopismo to zdobyło sobie już renomę we wszystkich większych ośrodkach naukowych świata, a niektóre z jego serii tłumaczone są w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii na język angielski. Ogrom zawartych w tym wydawnictwie informacji może zobrazować porównanie liczby 800.000 analiz dokumentacyjnych z liczbą 120.000 analiz opracowywanych rocznie w naszych stu kilkudziesięciu branżowych ośrodkach informacyjnych i rozpowszechnianych w formie kart dokumentacyjnych.

Jeśli spojrzymy na źródła informacyjne od strony poszczególnych nauk, to musimy stwierdzić, że dziedziną uprzywilejowaną jest chemia, która dysponuje najlepszymi i najpełniej opracowanymi wydawnictwami tego typu. Trzy podstawowe wydawnictwa informacyjne z tego zakresu to "Chemical Abstracts", "RŻ- Chimija" i "Chemisches Zentralblatt", które rejestrują rocznie odpowiednio ca 250.000, 200.000 i 170.000 dokumentów piśmienniczych (dane za rok 1967). Nie gorzej jest w zakresie fizyki, elektrotechniki, mechaniki i górnictwa. Pozostałe dyscypliny dysponują przynajmniej po jednym zagranicznym wydawnictwie abstraktowym. Również w Polsce ukazuje się, niezależnie od kart dokumentacyjnych, pewna ilość przeglądów dokumentacyjnych. Do najlepszych z nich zaliczyć można przeglądy dokumentacyjne z zakresu budownictwa, elektrotechniki, hutnictwa oraz mechaniki, z tym, że ten ostatni dokumentuje wyłącznie literaturę polską.

Wszystkie wzmiankowane wyżej wydawnictwa informacyjne, a także wiele innych, znajdują się do dyspozycji użytkowników w zbiorach Biblioteki Głównej i niektórych bibliotek wydziałowych. Są one codziennie wykorzystywane przez pracowników naukowych i studentów starszych lat studiów, a także przez czytelników spoza Uczelni.

Należy zaznaczyć, że są to materiały opracowywane w najpoważniejszych centrach informacyjnych świata i stanowią doskonałe źródło do śledzenia na bieżąco światowego piśmiennictwa, a dzięki rocznym lub wieloletnim indeksom, służą również do poszukiwań retrospektywnych.

ST. PIETRASZKO

XVIII PRZEDKONGRESOWA

Wszystko niemal zależy od punktu widzenia. Oczywiście. Z mojego stanowiska zauważyłem dwie (dużo? mało?) cechy konferencji: rzeczowość i polityczność.

Cecha pierwsza: rzeczowość.

Byłem zaskoczony poziomem, ilością i konstruktywnością wypowiedzi dyskutantów. Mówili o sprawach rzeczywiście ważnych, sprawach nauki, oddziaływania wychowawczego i politycznego, o bolączkach ekonomicznych, stosunku: aktyw - "szary członek", problemie studentów pracujących. Zwraca uwagę brak problematyki dotyczącej turystyki i wypoczynku czy kultury studenckiej. Jest to bardzo znaczące, wiąże się bowiem z jednym z najważniejszych problemów, z którym boryka się Zrzeszenie, mianowicie z zagadnieniem szarego członka. Kto to taki - wiemy: posiada legitymację, płaci składki, raczej studiuje; o tych, którzy coś robią, mówi: "ONI" (autor: A. Gabor - przypowieść własna), od ZSP żąda zapewnienia wczasów, zorganizowania rajdu czy imprezy kulturalnej. Nie dla każdego wystarcza, toteż zdobywa się na krytykę. A więc o tym, jak najlepiej gotować tę kulturalno-wypoczynkową strawę dla zjadaczy chleba, konferencja nie radziła. Natomiast, choć nie powiedziano tego wyraźnie, wskazała sposoby uaktywnienia. Bo co to znaczy: uaktywnić? To przede wszystkim - dać odpowiedzialną, pożyteczną robotę i to nie sprzątanie Parku Szczytnickiego, bo do parku daleko, podczas gdy przestrzenie między T-kami i front "Parawanowca" wyglądają wcale, wcale żenująco. Więc postulowano, aby podczas wakacji studenci pracowali na budowach, które im samym będą służyć: przyszłych stołówek, akademików.

Skoro jestem przy inwestycjach, to muszę stwierdzić duże zainteresowanie i troskę o to, by na Uczelni nie pozostawali przede wszystkim ci, którzy mają zapewnione mieszkanie we Wrocławiu, ale rzeczywiście najlepsi kandydaci na pracowników naukowo-dydaktycznych, aby nie odstraszała ich wizja 7-8-letniego koczowania.

Proponowano konkretnie wejście do Funduszu Budowy Szkół i Internatów, utworzenie przy RN ZSP Centralnej Sp-ni Mieszkaniowej dla stażystów wyższych uczelni.

Nauka: podkreślono, że nadal wpływ ZSP na poprawę sprawności nauczania pozostaje minimalny. Należy przede wszystkim skończyć z wykładami czytanymi, z ćwiczeniami na poziomie szkółki, uatrakcyjnić, zainteresować nimi obie strony. Dać

uczelni, bądź samorządności studenckiej, potężny czynnik wychowawczy - świadczenia. Stąd krytyka pierwotnego projektu zmiany systemu stypendialnego. Że studenci chcą solidnie studiować - dowodziły głosy domagające się rozszerzenia działalności kół naukowych SNS, zainteresowania tej organizacji pracami użytecznymi dla uczelni i przemysłu. Wielce symptomatyczne było stwierdzenie kol. Michała Kuźniaka, że praca naukowa magisterska, robiona w ciągu semestru, nigdy nie będzie tym, czym być powinna. Że na nią winien być przeznaczony cały IV i V rok studiów.

Głosy te wykazały, że "minimalistyczna postawa" ma swe źródła nie tylko w nas samych - studentach. Przecież sami studenci domagają się od lat zmiany systemu praktyk, wytykają ich liczne błędy i słabości. Podobnie na konferencji problem układu: student - absolwent - zakład pracy, zajmował niebagatelne miejsce. Postulowano zmiany w fundowaniu stypendiów (zawieranie umów na miejscu u fundatora), odbywanie praktyk w zakładach nowoczesnych, gdzie można się czegoś dowiedzieć, nauczyć, kontakty z zakładami pracy poprzez studentów pracujących z nich się wywodzących. Służyć temu mogłoby też powstanie kół absolwentów naszej Uczelni w miejscach pracy.

Studia dla pracujących: wymagają one jak najszybszego unormowania przynależności organizacyjnej tych studentów.

Fakt, że delegaci studentów pracujących na Kongres wybierani są według odmiennego klucza, nie na konferencji uczelnianej, spowodował po części zrozumiałą niechęć do zabierania głosu w dyskusji. A szkoda, bo przecież sprawy dotyczące studiów wieczorowych zostaną przez naszych delegatów na Kongresie przedstawione.

Kilka głosów dotknęło też ważnego problemu Zrzeszenia: dyscypliny organizacyjnej. A jest o czym mówić: oto w konferencji bierze udział 75 % delegatów. Są to podobno aktywiści, ludzie cieszący się zaufaniem kolegów (inaczej by ich nie wybrano), a oni sobie na wszystko bimbają. Nie ma się więc czemu dziwić, gdy na zebranie nie przychodzi połowa uczestników, albo i sam zwołujący, że rozmaite imprezy zaczynają się często z półgodzinnym albo i większym opóźnieniem.

Cecha druga: polityczność

Nie było głosów stricte politycznych, jednak uważnie przysłuchując się wypowiedziom, można było je znaleźć. Na przykład: mówiąc o przyznawaniu świadczeń materialnych, jeden z delegatów stwierdza, że ponieważ organizacja partyjna i ZMS reprezentują nie tak liczne grono jak ZSP, powinny one zostać faktycznie odsunięte od rozdziału świadczeń, a w każdym razie nie powinny posiadać prawa współdecydowania, tym bardziej, że są to ludzie nie posiadający autorytetu, niepopularni wśród kolegów. Idąc dalej - proponuje utworzenie przy Radzie Uczelnianej pewnego rodzaju ośrodka badań opinii studenckiej.

Demagogię czuć tu na milę. A ponadto - co smutniejsze - braki w edukacji politycznej i umiejętności oceniania realiów. I tego głosu zlekceważyć nie można.

Podobnie, choć z innego może względu, tego mówcy, który stwierdził, że kadra nauczająca Politechniki powinna w większej mierze wywodzić się z organizacji ZSP .. Należy więc od-

powiedzieć na pytanie: czy działanie w organizacji partyjnej, bądź w ZMS rzeczywiście daje monopol na pozostanie w Uczelni?

Dalej:

Komitet Wykonawczy RU po uzgodnieniu z przewodniczącym Rad Wydziałowych przedstawił kandydatury delegatów na Kongres. Chodziło o to, by delegatami zostali działacze stykający się w swej pracy na codzień z problematyką Zrzeszenia, mający szersze pole widzenia, większą znajomość spraw. Delegatów na Kongres jest siedmiu; kandydatów przedstawionych - tyle samo. Kierowano się zapewnie i tym, że dla wielu uczestników konferencji, zwłaszcza tych młodszych, mimo przedstawienia charakterystyk, wybór byłby swoistym toto-lotkiem. Wyjaśnienia wymaga kandydowanie na Politechnice Maćka Kosińskiego, studenta Akademii Medycznej. Otóż Maciek jest wiceprzewodniczącym Rady Okręgowej, a działacze RO kandydują na różnych uczelniach; to wszystko.

Zaniedbano odczytania uchwały Rady Naczelnej, dotyczącej trybu wybierania delegatów na Kongres, który zezwala na umieszczenie na liście tylu kandydatów, ilu może być wybranych (w tym wypadku siedmiu na siedmiu- ale nie muszę - i delegaci również - wierzyć w to na słowo, nawet, gdy głosi je przewodniczący Rady Okręgowej).

Postawiono kandydaturę Piotra Wendego z VI roku Budownictwa. Osobiście dziwi mnie, że przewodniczący w tym momencie konferencji, Zbyszek Karpuk, z uporem godnym lepszej sprawy domagał się zgłoszenia jego kandydatury przez macierzystą Radę Wydziałową. Sądzę bowiem, że każdy delegat ma prawo do wysunięcia kandydatury a oczywiście najpełniej scharakteryzować kandydata może RW (a jeśli RW zechce go uziemnić?).

I jeszcze jedno: skoro po głosowaniu odrzucającym wniosek o uchylenie tajności wyborów mówi się, że "miły ZSP-owski zwyczaj został zachowany", że "wybory odbędą się w sposób demokratyczny", to po co w ogóle taki wniosek stawiać?

Brak zaufania? Lista uprzednio przekablowana?

Sekretarz KU, tow. Jerzy Girulski, stwierdził, że zauważył na konferencji ucieczkę od spraw politycznych.

A czy brak w dyskusji najcieńszego nawet tonu dotyczącego usuniętych w maju studentów-członków ZSP, nie ma też wymowy politycznej?

JERZY MAGER

PS. Dlaczego do końca konferencji dotrwali tylko przedstawiciele administracji Politechniki?

1. 2. 3. 4. 5. 6. 7.

Poprosiliśmy naszych delegatów na VII Kongres ZSP o odpowiedzi na kilka pytań:

1. Jak przebiegała Twoja "kariera" w ZSP?
2. Co jest Twoim największym osiągnięciem w pracy w ZSP; co dostarcza Ci najwięcej satysfakcji?
3. Z czym wystąpisz na Kongresie?
4. Z czym kojarzy Ci się hasło "SIGMA"?

① LUDWIK BUKOWSKI:

Absolwent Wydziału Mat-Fiz-Chem. Uniwersytetu Wrocławskiego, aktualnie asystent w Instytucie Fizyki Technicznej Politechniki Wrocławskiej. Przewodniczący RU ZSP Politechniki Wrocławskiej, członek Rady Naczelnej ZSP.

1. W 1961 r. - kierownik Komisji Wczasów, Turystyki i Sportu Rady Wydziałowej, przewodniczący Koła Przewodników AKT. Od 1963 r. sekretarz KWTiS Rady Okręgowej. Od 1964 - przewodniczący KWTiS RO, kierownik BWiT "Almatur". W 1965 - wiceprzewodniczący RO ZSP.
2. Gdy ludzie, dla których coś (rajd, impreza) robię, są zadowoleni.
3. Interesuje mnie to, co się nazywa działalnością wychowawczą i wypełnieniem wolnego czasu, zwłaszcza turystyką.
4. Pismo potrzebne, ambitne, z przyszłością. Środek ciężkości powinno przesunąć ku sprawom studenckim.

② KAZIMIERZ GZECHOWICZ:

V rok Elektroniki, przewodniczący Komisji Propagandy i Informacji RZ ZSP, członek RO ZSP.

1. 1964-1966 - starosta grupy; 1965-1967 - kierownik Klubu Filmów Zagranicznych przy RW Elektroniki; 1966-1968 - Kierownik Komisji Zagranicznej RW.
2. Ruszenie zaniedbanego odcinka - pracy polityczno-wychowawczej. Utworzenie Sekcji Informacji Politycznej i Klubu "Publicum" z dużą pomocą kolegów z komisji.
3. Obchodzi mnie praca polityczna Zrzeszenia w kierunku zbliżenia studentów do tych spraw.
4. Z stosunkowo dobrym magazynem - może nie takim, jaki studenci chcieliby widzieć, ale poruszającym coraz więcej ich spraw. Ze względów czysto ZSP-owskich szczególnie przyjemnie odebrałem dwa ostatnie numery.

③ ANDRZEJ GABOR:

IV r. Elektroniki, przewodniczący Uczelnianej Komisji Rewizyjnej.

3. Zbyt mało miejsca.

1, 2, 4. Na pozostałe pytania pozwolę sobie nie odpowiedzieć.

④ MACIEJ KOSIŃSKI

VI r. Akademii Medycznej, wiceprzewodniczący RO ZSP, członek RN.

1. Długa - od sekretarz Komisji Kultury RU ZSP Akademii Medycznej - do obecnie pełnionej.
2. -
3. -
4. Z wyjątkowo ciekawie redagowanym pismem; oby tylko wreszcie drukowanym!

⑤ RYSZARD WAŚNIOWSKI:

IV r. Wydz. Podstawowych Problemów Techniki, przewodniczący Komisji Nauki RU ZSP, członek RO.

1. Przewodniczący Komisji Propagandy i Informacji DS "Sezam", sekretarz Rady Mieszkańców DS T-4, przewodniczący RW ZSP WPPT.
2. To, co robimy na codzień.
3. Z najszerzej pojętymi sprawami nauki.
4. Z popularnym magazynem Politechniki Wrocławskiej.

⑥ KAZIMIERZ WIĘCKOWSKI

VI r. Elektroniki, wiceprzewodniczący RU ZSP, członek RO ZSP.

1. Kierownik Komisji Wczasów Turystyki i Sportu RW, przewodniczący RW Elektroniki, wiceprzewodniczący RU d/s WTiS.
2. Rozruch mikrorajdów na Politechnice.
3. Co dalej w turystyce studenckiej? Turystyka zaangażowana, wypoczynek, wiadomości o kraju.
4. Nareszcie nasze problemy w naszym piśmie (nie szczypiecie się w parawaniki).

⑦ JERZY ZOŃ

III r. Chemii, przewodniczący RW ZSP Chemii.

1. Starosta roku, wiceprzewodniczący RW.
2. Fakt, że posiadam zaufanie koleżanek i kolegów.
3. Struktura ZSP a nowa organizacja Uczelni
4. Gazeta przyszłości dla środowiska; może?

SYLWESTER 1968

Nowy Rok powitali pracownicy Politechniki Wrocławskiej na balu, zorganizowanym przez Radę Zakładową ZNP pod patronatem JM Rektora, prof. Zygmunta Szparkowskiego, dla przeszło siedmiuset osób.
Sylwestrowe bale w naszej Uczelni cieszą się zasłużoną sławą najwytworniejszych we Wrocławiu. Składa się na to wiele czynników, które wprawdzie charakteryzują każdy bal noworoczny, mają jednak u nas "znak najwyższej jakości". Uroczystą galę tworzą udekorowane przez sposobnych po temu fachowców /plastyków bądź architektów/, przygrywające - z reguły dobre - dwa zespoły muzyczne, czerń garniturów kontrastująca z połyskującymi w swej różnobarwnej większości lamami.

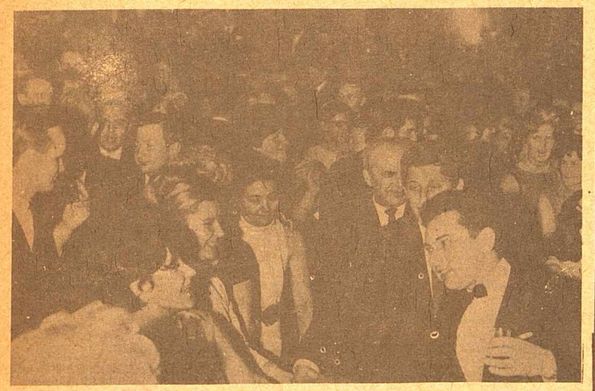

O ogólnie panującej atmosferze niech zaświadczą publikowane zdjęcia i fakt, że ostatni "sylwestrowicze" z żalem rozstali się o 7-mej rano następnego roku.

/m/

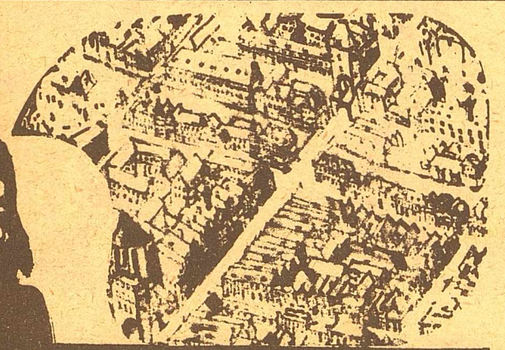

studentka w Paryżu

Paryż powitał mnie późnym rankiem. Pogoda była przyjemniejsza od tej, którą zostawiłam o świcie w Warszawie, ale na słońce nie było nadziei. Kapitan Ziółkowski podprowadził samolot do lądowania na lotnisku Le Bourget. Opuszczając samolot czułam się trochę jak mąż stanu przybyły z wizytą rządową. Prawdę mówiąc - nie dochodziła do mnie jeszcze świadomość, że jestem w tym wspaniałym, europejskim mieście. Sprawna odprawa paszportowa, odbiór bagaży i wreszcie czas na obejrzenie aeroportu. Dużo światła, marmur, szkło, kolorowe reklamy - to podziałało na mnie i wzmocniło ciekawość, co zobaczę dalej.

Ładnym autokarem długo jechałam wygodnymi autostradami, mijając po drodze pomarańczowo oświetlone tunele, pożerając oczami każdy centymetr Paryża. Wspólnie z resztą wycieczkowiczów zamieszkałam w akademiku na Rue de Citoux. Wyglądał wcale sympatycznie, ale wewnątrz czekały nas brudne, wąskie korytarze, ciemne, nieciekawe pokoje minimalnie ożywione czerwonymi zasłonami. Zaimponowała nam jedynie winda, ponieważ z reguły się nie psuła.

Pierwszym zaskoczeniem był dla nas zupełny brak podobieństwa kuchni francuskiej i polskiej. Śniadanie składające się z kawy, bułki i konfitur niczym nie przypominało naszego. W czasie obiadu na próżno wyczekiwaliśmy zupy; zamiast niej podano kawałek melona, potem frytki z mięsem, zieloną sałatę przypominającą wyglądem oset. Deser stanowiły owoce i ser. Na nic zdały się nasze oczekiwania na wino; każdy, kto ma na nie ochotę, musi wydać kilkadziesiąt centimów - reszta pije wodę. Wodę można dostać za darmo w każdym "bistro". To francuskie menu wyjaśniło nam tajemnicę figury Francuzek. Z dumą muszę stwierdzić, że Polki we Francji bardzo się podobały; Francuzki naszym kolegom raczej nie przypadły do gustu.

Wystarczy przejść most przerzucony przez Sekwanę, by znaleźć się na Placu de Varsovie, gdzie tryskają najpiękniejsze chyba w całym Paryżu fontanny. Często spotykaliśmy coś, co nam przypominało Polskę; most koło Notre Dame ma wmurowaną tablicę z nazwiskiem p. Landowskiego, dalej znajduje się polska biblioteka, polska księgarnia, na jednym z paryskich zegarów - polskie godło, w sklepach nasza wódka i szynka. Spotykaliśmy zresztą na każdym kroku Polaków; byli wzruszeni, mówili łamaną polszczyzną, ale okazywali nam wiele serdeczności. W pobliżu Placu Zgody znajduje się polski kościół.

Na "Konkordzie" panuje olbrzymi ruch samochodowy. Paryż ma 2 miliony samochodów, można nimi obdzielić wszystkich Warszawiaków i jeszcze paru innym miastom by coś się zostało. Ruch jest szokujący, samochody jadą z olbrzymią szybkością. Paryżanie - to wirtuozi kierownicy; są przy tym niezwykle uprzejmi, zatrzymują się przed każdym przejściem dla pieszych. Są tu i inne samochody; w Salonie firmy Renault przód pomieszczenia zajmują najnowsze modele produkowane przez fabrykę, z tyłu urządzone jest przytulne bistro w starych samochodach, pamiętających czasy naszych pradziadków.

Kamienne, wąskie schodki, o wiele bardziej długie i męczące od naszych warszawskich, prowadzą z podnóża kościoła na Place de Tertre - najmilszy moim zdaniem zakątek Paryża. Okalają go ze wszystkich stron przytulne bistra; w jednym z nich dekorację stanowią banknoty z całego niemalże świata. Z przyjemnością znalazłam tam polskie dwudziestozłotówki. Na placu stoją czerwone parasole, czerwone stoliki, czerwone lampki, jednym słowem - kolejne bistro. Cudownie wyglądają na tym tle purpurowe raki leżące na zielonych liściach sałaty, mrożące się wino w niklowanych kubełkach. Wokół placu sadowią się na niewygodnych krzesłach malarze. Są to przeważnie portreciści, którzy za jedyne 20 franków, przy pomocy węgla i kredy, rysują suweniry z Paryża co bogatszym turystom. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że siedmiu z nich - to Polacy. Przywiozłam i ja ten souvenir, tyle że malowany gratis przez bardzo miłego starszego pana z Polski.

Place de Tertre rozbrzmiewa śpiewem przez całą noc. W kącie niewysoka dziewczyna o niezwykłej urodzie śpiewa hebrajską piosenkę i zbiera drobne monety do mocno podniszczonego beretu. Na paryskich mostach rysunki malowane kolorowymi kredkami - studenci holenderscy w podróży dookoła świata proszą o wsparcie - studenci węgierscy w podróży dookoła Francji bez pieniędzy, obok parę złotych pieniążków. Śpiewa się za parę franków, maluje się za parę franków, wszystko za pieniądze.

Słynny Pigalle; kolorowe neony, przesuwające się światła, kręci się wiatrak Moulin Rouge. Lokale nocne, jeden obok drugiego. W witrynach - zdjęcia aktualnie występujących streapteaserek, przed wejściem "naganiacze" nawołują klientelę.

W Casino de Paris pustki. Wspaniałe kostiumy, kolorowe pióra, błyszczące stopnie schodów, po których przesuwają się urocze tancerki w topless - ogląda dosłownie kilkadziesiąt osób.

Do Katedry Notre Dame panie przychodzą w śmiesznych koronkowych chustkach na głowie, przypominających nasze koniakowskie serwetki. Notre Dame jest piękna; krętymi, kamiennymi schodkami wchodzi się na wieżę kościoła. Widok jest bardzo rozległy, ślicznie wygląda błyszcząca w słońcu Sekwana, bulwary, parki, tarasy na dachach domów. Można wyjść jeszcze wyżej, na samą dzwonnicę, grube belki podtrzymują olbrzymi dzwon, którego brzmienie znamy z filmu "Dzwonnik z Notre Dame".

W wagonach i na stacjach jest wprost fatalna wentylacja i brud. Francuzi nie uznają ani koszy na odpadki, ani popielniczek. Na próżno szukaliśmy czegoś na śmieci w ogrodzie Luxemburskim i w innych parkach Paryża. We wszystkich prawie parkach roi się od posągów, fontann, pięknych gazonów i ... krzeseł. Za siedzenie na nich trzeba płacić, oprócz tego są ławki - bezpłatne. W ogrodach bawi się moc dzieci, uroczych, rozwrzeszczanych, wiecznie kłócących się ze sobą. Dziwiła mnie ciągle ich cudowna francuzczyzna - takie małe, a tak świetnie mówią po francusku; dopiero po chwili docierało do mnie, że jestem w Paryżu. Osobnym rozdziałem tego miasta są jego muzea. Naturalnie króluje Louvre. Tłumy podziwiają Monę Lizę patrzącą każdemu, kto na nią patrzy, prosto w oczy i wspaniałą Venus z Milo. Belfegora nie spotkałam.

Trudno w tym miejscu nie wspomnieć, co nosi się w Paryżu, to znaczy w czym jest ubrana przeciętna paryska dziewczyna. A więc: tergalowe płaszcze i spódnice, sztruksowe spodnie. Bardzo często widzi się spódnice szkockie. Na upały kretonowe sukienki w kropki lub drobną krateczkę z aplikacjami z koronkowych kwiatów. Spod sukienek zalotnie wyglądają falbanki sięgających do kolan majteczek. Bardzo popularne są bermudy wkładane pod rozciętą niemalże do pasa sukienkę. Najmodniejsze aktualnie w Paryżu są olbrzymich rozmiarów okulary słoneczne i łańcuszki okręcane wokół przegubu dłoni. Do tego parę pierścionków na jednej ręce. Często można spotkać w Paryżu ulice, które wyspecjalizowały się w produkcji określonych rzeczy, np. ul. św. Antoniego - w sprzedaży mebli.

Nie napisałam jeszcze właściwie nic o Sekwanie, rzece, o której powstało tyle piosenek i nakręcono tyle filmów. Seine, bo tak nazywa się po francusku Sekwana, ma kolor zielony, przerzuconych jest przez nią kilkadziesiąt mostów. Płynie jednolitą strugą do momentu napotkania Pont Sully, mija Notre Dame. Na bulwarach rozłożyli swe kramy bukiniści. Można tam nabyć widokówki, portrety Gawroche'a i Titi, stare obrazy i książki. Pod mostami paryskimi spotyka się włóczęgów; piją tanie wino, wpatrują się bezmyślnie w nurty rzeki. Na dole panuje cisza, spokojnie płynie z lekka cuchnąca Sekwana, nic nie zakłóca snu włóczęgów. Nawet ten obrazek jest niepowtarzalny, po prostu paryski.

Znalazłam sens słów "zobaczyć Paryż i umrzeć". To wspaniałe miasto żegnało mnie strugami deszczu i piosenką "Paryż budzi się o piątej rano". Miałam łzy w oczach. Czy kiedyś tu jeszcze wrócę?

GRAŻYNA GINDA

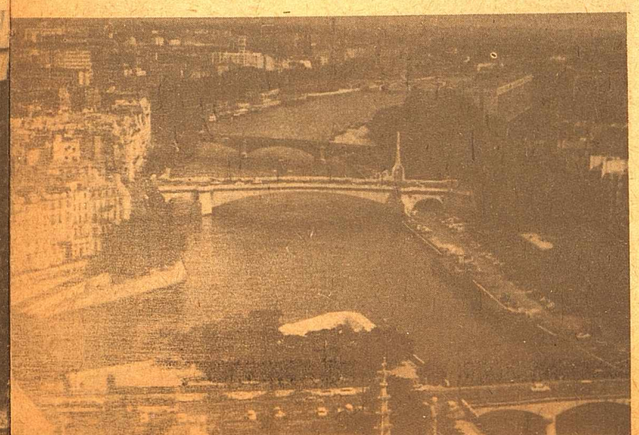

Przez dziurkę

Pewnego wieczoru w rozmowie padło dość zaskakujące pytanie: Co to jest student? Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Ale pytanie zostało postawione powtórnie i nie dawało mi spokoju. W końcu - wymyśliłem: STUDENT, TO CZŁOWIEK, KTÓRY NA NIC NIE MA CZASU. Zagadnąłem kilku kolegów, co o tym sądzą. Wszyscy zgodnie, z politowaniem odpowiadali: "Skąd ty spadłeś człowieku?" Robili przy tym dziwne miny. Znajomy docent żachnął się: "Chyba pan przesadza". Ja jednak upieram się przy swoim. I spróbuję to udowodnić.

Weźmy na przykład tak marginalne dla studentów zajęcia - jak nauka. Każdy szanujący się wykładowca stara się maksymalnie zainteresować studentów swoim przedmiotem. W tym celu duży procent czasu przeznaczonego na wykład poświęca na opowiadaniu zajmujących ciekawostek i krotochwilnych dykteryjek. Na końcu zaś podaje terminy ćwiczeń kontrolno-sprawdzających i literaturę. Ta ostatnia składa się zwykle z literatury wprowadzającej w zagadnienie, kilka tomów wstępu właściwego i literatury zasadniczej, traktującej o problemie tak całościowo, jak i z rozbiciem na zagadnienia szczegółowe. Zwykle dodaje się jeszcze pozycje dla zdolniejszych, którzy chcieliby poszerzyć i pogłębić swoje wiadomości. Jeżeli student ma kilku takich wykładowców jednocześnie, to prosty rachunek wykazuje, że 24-godzinna doba nie wystarczy. Oczywiście na wszystkie sposoby są sposoby. Tutaj na przykład mamy dwie szkoły postępowania: zwolennicy pierwszej traktują wszystko poważnie i systematycznie zaczynają wertować literaturę. Zwykle udaje im się dotrzeć do połowy wstępu właściwego. Wykonawcy drugiej - pochodzą do zagadnienia krytycznie. Trzeźwo oceniają, że całości nie sposób przerobić i machają na wszystko ręką. Ale uczelnia techniczna czuwa i ma możliwości. Natychmiast podsuwa do roboty sprawozdania. Nie wtajemniczonym wyjaśniam, że jest to misterne przepisywanie tekstów podręczników, odmierzanie kątów prostych przy tabelkach i tym podobne wyrabiające cierpliwość czynności. Dawno, dawno, podobne rzeczy wykonywali Benedyktyni. I weszli do historii.

Gdyby się komuś udało przypadkiem wygospodarować chwilkę wolnego czasu, to wykorzystuje ją natychmiast cała wataha wszelkiego rodzaju opiekunów z ramienia wszystkich możliwych organizacji i instancji. Każdy z nich stawia sobie za punkt honoru zorganizowanie przynajmniej jednego zebrania, na którym gromi podopiecznych za niewłaściwy stosunek do spraw poważnych i zasadniczych.

Ale przyjrzyjmy się sprawom, które istotnie zabierają czas studentom. Są to ich zainteresowania i pasje. Na tak powszechnymi jak czcze gadanie, brydż, czy oglądanie telewizji, nie warto się dłużej zatrzymywać. Dodam tylko, że dobrze wytrenowany, doświadczony student, potrafi na to stracić od 80 do 100% swojej doby. Oczywiście bywają zainteresowania bardziej frapujące. Na przykład jeden z moich przyjaciół kolekcjonuje konkretne, praktyczne rady, odnośnie swojej przyszłej pracy inżynierskiej, jakie padają zza katedr. Podobno kilka udało mu się już nawet zebrać. Fachowcy wróżą mu wspaniałą karierę.

Jeśli ktoś myśli, że to już wszystko, co zabiera czas studentom, to się myli. Każdy ma prawo powiedzieć sobie od czasu do czasu "homo sum" i - ulec pokusie. A pokusy są nie byle jakie. Wystarczy rozejrzeć się dokoła. Na wprost kolorowy napis apeluje: "Zostań żeglarzem", obok "Pij mleko", dalej "Tylko Andrzejki u turystów dadzą ci satysfakcję". I cała orgia: "Zwiedź Bułgarię", "Trenuj judo", "Kupuj margarynę", "Zbieraj złom" ... Odmiany studenta o nazwie "działacz" nie biorę pod uwagę, bo ta niedługo całkowicie wymrze. Z prostych, biologicznych przyczyn: brak snu i pożywienia.

Jak widać, sytuacja wygląda niewesoło. Ale nie jest bez wyjścia. Pozwolę sobie zaproponować rozwiązanie. Można by stworzyć stowarzyszenie- sektę, coś na wzór - dajmy na to - jogów. Członkowie tego stowarzyszenia od najmłodszych lat ćwiczyliby właściwe wykorzystanie czasu. Jak to sobie wyobrażam? Ano na przykład jednocześnie można robić pompki, czytać podręcznik i słuchać koncertu z radia. Przy tym wszystkim można się opalać i jeść drugie śniadanie.

Zdaję sobie sprawę, że mój przykład nie wyczerpuje wszystkich możliwości. Rzecz należy przemyśleć do końca. Opracować całościowe zestawy czynności - bez luk i działań sprzecznych. Potrzebne tutaj analityczne podejście i dużo, dużo inwencji.

Myślę, że ludzie, którzy nabraliby proponowanych przeze mnie umiejętności, mogliby bez przeszkód godzić solidne studia z szerokim rozwijaniem swojej osobowości. Starczyłoby im pewnie czasu również na życie osobiste, a może i troszeczkę na to, żeby go zwyczajnie, po ludzku, zmarnotrawić.

FILUT

Radosne saldo czy złowroga su perata?

Z okazji Nowego Roku jesteśmy zwykle skłonni podsumowywać nasze plusy i minusy, umieszczać pod znakiem sigmy aktywa i pasywa okresu przeszłego, ważyć je i przymierzać do projektów roku następnego - roku, po którym spodziewamy się zwykle więcej, niż po ubiegłym. Młodzi beztrosko i z radością witają otwierające się przed nimi możliwości nowego dnia, nowego roku, a może i epoki, my zaś - nieco starsi - z objawieniem społecznego instynktu zachowawczego, a więc z rezerwą, stajemy przed tym, co nowe i nieznane. A n o w e niesie technika. Ona to zdecydowanie wkracza w nasze życie. Gdy jej nie rozumiemy, gdy jej nie wyczuwamy, zaczynamy podejrzewać, czy przypadkiem ten szalony rozwój techniki nie zagrozi wartościom humanistycznym i nie stanie się dla nich nowoczesnym "technokratycznym Molochem"? Do czego zdolni będziemy w warunkach ogólnej politechnizacji - egzaltujemy się z byle powodu, a jak wiadomo - egzaltacja - to wróg racjonalnego spojrzenia.

Dziś, gdy nie możemy się już obejść bez telewizji i samolotu naddźwiękowego, ingerencja techniki w różne dziedziny życia społecznego budzi rozmaite reakcje: "Tak. Nauka wkroczyła w nasze życie (...) nawet postawienie wychodka (...) wymaga ekspertów" - Z wyrzutem zauważa Siedlecki* i konkluduje dalej: "... i tak zawędrowaliśmy do społeczeństwa przyszłości, społeczeństwa technokracji absolutnej, bo odczłowieczonej (-). Takie społeczeństwa tworzą owady; jako model świata, o którym tu mowa, służyć może termitiera". Do tych samych wniosków dochodzi na łamach politechnicznej SIGMY Olszewski**: "Superspecjalizacja grozi zupełnym otępieniem jednostki na te zasadnicze problemy, bez świadomości których współczesne zmechanizowane społeczeństwo przypominałoby gładkie i efektywnie zorganizowane, ale zarazem skostniałe, nieme i głuche skupisko mrówek czy termitów". To, że w sprawie owadów zabierali głos i inni światli ludzie tacy jak Maeterlinck*** czy Themerson****, może co najwyżej nieco złagodzić tę nieprzyzwoitą wizję: mrówki, termity - brr! ..... Co za szczyty globalnej degeneracji! Ale żeby zażegnać niebezpieczeństwo? ... Dobrze opracowanej strategii przeciwdziałania nie ma; wiadomo, że, roznosicielami technicznego niebezpieczeństwa są oczywiście spece od techniki.

A więc, proszę studentów politechniki, gdy tak technika coraz bardziej dehumanizuje człowieka, czyniąc zeń z czasem wypranego z ludzkich cech skomputerowanego technokratę, zjawiają się kompetentni misjonarze:

- z dbałości o humanitaryzm w odbiorze sztuki Hulanicki i Calidus zwracają na stronach SIGMY uwagę jak patrzeć, widzieć i oceniać dzieła sztuki, jak je odróżniać od jarmarcznych knotów różnej maści wydrwigroszów. Wójcicka dyskretnie poucza, do czego służy teatr i choć przemiloza dość istotną rolę krzeseł i kurtyny, podkreśla rolę absurdu w dziedzinie dramatu. A Ernest D.? Dyczek jako terapię zaleca (nieobowiązkowo) prozę, choć sam woli wierszem ...Tak, koledzy-technokraci, uczcie się Etrurii, groteski i Sidorskiego, humanizujcie się! - bije z głębi prawd wyznania manifest Jurkiewicza ... Przymiotów humanisty nie zdobywa się w sposób akademicki, tego się nie da wyuczyć z podręczników, wysłuchać z sal wykładowych, czy wynieść z pracowni i laboratoriów. To są kompetencje sztuki! Niech żyje sztuka - pierwsze narzędzie humanizmu! - To MY was prowokujemy do zajmowania osobistego, zaangażowanego stanowiska! - Przyjrzyjcie się historii, sztuka jest potrzebna jak chleb ...

I tak w szlachetnej twórczej atmosferze rośnie powoli problem odbitej szajby. No bo czy rozwój sztuki w naszej epoce musi mieć a priori humanistyczne znaczenie? Poza tym kohia z rzędem temu, kto wskaże te osiągnięcia z tzw. "dziedzin humanistycznych", które potrafiły wstrząsnąć światem. Zadziwić? Tak - tych cudów było prawie siedem. Tymczasem nie umiejętność gry na flecie leczy wynalazek koła był jednym z pierwszych symptomów wagi technokracji. Nie malarstwo Velasqueza czy Leonarda da Vinci, nie czarownice i inkwizycja, lecz wynalazek strzemienia i chomąta pozwoliły rycerzowi dosiadać konia w ciężkiej zbroi lub zaprzęgać go do ciężkich wozów, pełnych branek na wschód i kosztowności na zachód. Nawet przypisywane Gutenbergowi wynalezienie ruchomej czcionki trzeba zaliczyć do tych osiągnięć nie "humanistycznej" lecz "technicznej" myśli ludzkiej, co przez cztery wieki było głównym narzędziem kształtowania kultury europejskiej. A jakże wiele zawdzięcza kultura, sztuka, filozofia, socjologia i wszystkie inne dziedziny c e c h u humanistów - wynalezienia tak nowoczesnych środków przekazu jak telewizja czy tranzystor ...

Wnioski o podłożu czysto empirycznym są więc jednoznaczne:

Kto oczekuje od "humanistów", że naprawią oni obraz świata, skazany jest na kompleks niższości. Bo nie można nie zauważyć tego, co się dookoła dzieje, i zmienia - humaniści nie mogą ignorować techniki, muszą w niej uczestniczyć. Aktualne zamówienie społeczne nie może wyprzedzać o dziesiątki lat tego, co humaniści mają dziś do zaoferowania. Rozwój techniki musi być kontrolowany na bieżąco, wtedy nie ma mowy o dehumanizacji. Można tolerować modę na długie włosy, Bitlesów, pop-art i happeningi, ale nie można tolerować mody na przechwalanie się, że zupełnie nie rozumie się matematyki, że gardzi się fizyką i w ogóle nie interesuje techniką. Dla homines o takiej koncepcji rzeczywistość "nauka - jak pisze znany literat francuski Raymond Queneau - to pewien rodzaj zabawki w ręku strasznych ludzi, których nazywa się naukowcami, a najbardziej znaną z tych zabawek jest oczywiście bomba atomowa". Lenin wyprowadza humanitarną istotę techniki z aktywnego i celowego stosunku człowieka do pracy w ogóle. Według niego podstawową przesłanką humanizacji stosunków społecznych jest w warunkach socjalizmu rozwój techniczny i gospodarczo-ekonomiczny. Podobny pogląd, reprezentowany na zachodzie przez Mc Luhana, przesuwa jednak środek ciężkości humanizacji stosunków ludzkich w kierunku środków przekazu, ale to już inna sprawa.

Wracając do rzeczy - nieodwzajemniane przez technikę uczucia humanistów sprowadzają się w zasadzie do alternatywy: h u m a n i z u j s i ę t e c h n o k r a t o lub też: u c z s i ę t e c h n i k i h u m a n i s t o.

Osobiście proponuję salomonowy kompromis.

---

* Z. Siedlecki, Trybuna Ludu, 21.IV.68 r.
** B. Olszewski, Sigma 2.
*** Maeterlinck, Życie pszczół.
**** Themerson, Wykłady prof. Maa.

parkinson

CZY TYLKO duch OCHOCZY?

Przez długi okres były to rzeczywiście "chude lata", chociaż na korytarzu drugiego piętra Gmachu Głównego wisiała spora tablica z napisem: SNS. Koledzy z innych wydziałów określenie "obóz naukowy architektów" kojarzyli sobie w najlepszym wypadku z plenerem malarskim, nie budzącym szerszego zainteresowania. Jak jest obecnie; czy nic się nie zmieniło?

2.

Przed tablicą informacyjną Stowarzyszenia Naukowego Studentów Wydziału Architektury spotkać można grupkę młodych ludzi z niebywałym zainteresowaniem studiujących najnowsze ogłoszenie Koła Architektów. Barwna płachta kartonu - dzieło niestrudzonego Jaśka Sawki - przyciągą oko i bawi humorem, jakim okrasza on każdą informację o nowej imprezie organizowanej przez Koło. Nie jest to żadna błazenada, sztuka dla sztuki czy pusta autoreklama, schlebiająca gustom młodych i ... niezaangażowanych. Taka reklama, takie drażnienie oczu i wyobraźni wydaje się potrzebne, by poruszyć umysły właśnie tych "niezaangażowanych", ospałych. Wydatnie zwiększa to frekwencję na imprezach, ale chętnych do pracy w Kole jest nadal bardzo niewielu.

A Koło stało się już cząstką wydziału, jest zauważane, zaczyna intrygować, wychodzi naprzeciw z inicjatywą, z prelekcją, z dyskusją, z propozycją włączenia się do konkretnej pracy nad interesującymi problemami architektury, urbanistyki, sztuki, nawet z prezentacją takich zjawisk jak "psychedelic" (w wykonaniu grupy "Romuald and Roman") czy "architektura automobilowa" ...

To może niewiele, ale już coś.
Jest więc źle czy ... już lepiej?

3.

Lato 67. Obóz naukowy w Szczawnicy. Poznanie Czorsztyna, Pienin, przełomu Dunajca; Koło inspiruje włączenie się do ogólnopolskiej batalii o ratowanie tego uroczego zakątka kraju przed "wielką wodą" i megawatami. Walczono o słuszną sprawę, w przekonaniu młodych miłośników starej architektury i przyrody, o egzystencję Pienin z ich mikroklimatem, o architekturę Frydmana, Dębna, Czorsztyna, Niedzicy, o niepowtarzalny urok tego regionu, który utrwalono na płótnie, kliszy i papierze. Przedsięwzięto "wyprawę" do mędrców i fachowców, by zasięgnąć opinii na temat projektu Zbiornika Czorsztyńskiego i hydroelektrowni, by zbadać argumenty "przeciw". W większości nasi rozmówcy - kierowani racjonalnymi pobudkami - byli przeciwni budowie zbiornika.

Dziś już wiemy, że sztuczne jezioro pokryje Czorsztyn, okrąży Frydman i Dębno, skróci trasę Przełomu Dunajca. Względy ekonomiczne przeważyły, może okazały się ważniejsze. Batalię przegrano, ale ... mimo wszystko powodem pewnej satysfakcji był sam udział w ogólnospołecznej dyskusji na temat zapory, poruszenie kogoś z "czynników" walką o drewniany kościółek w Dębnie.

A może tu krył się błąd w wyborze tematu, problemu. Może był on zbyt abstrakcyjny i oderwany od najbliższej rzeczywistości i regionu?...

Lato 68 i udział w akcji 200 obozów naukowych organizowanych przez ZSP - to nowy etap w działalności. Po pierwsze: znalazł się wreszcie mecenas, który do tej pory konsekwentnie zapominał o swej funkcji, mianowicie ZSP i jego Komisja Nauki; po drugie: obóz w Bystrzycy Kłodzkiej, zgodnie z zaleceniem RO ZSP i umową między ZSP i władzami Kotliny Kłodzkiej - miał charakter społecznie użyteczny, co stanowi nowy zupełnie element w charakterze pracy Koła.

Najważniejszym punktem programu pracy naukowo-społecznej był projekt kolorystycznej renowacji szeregu zabytkowych kamieniczek. Projekt ten, jak również projekt placu zabaw dla dzieci w centrum miasta, będzie w najbliższym czasie zrealizowany.

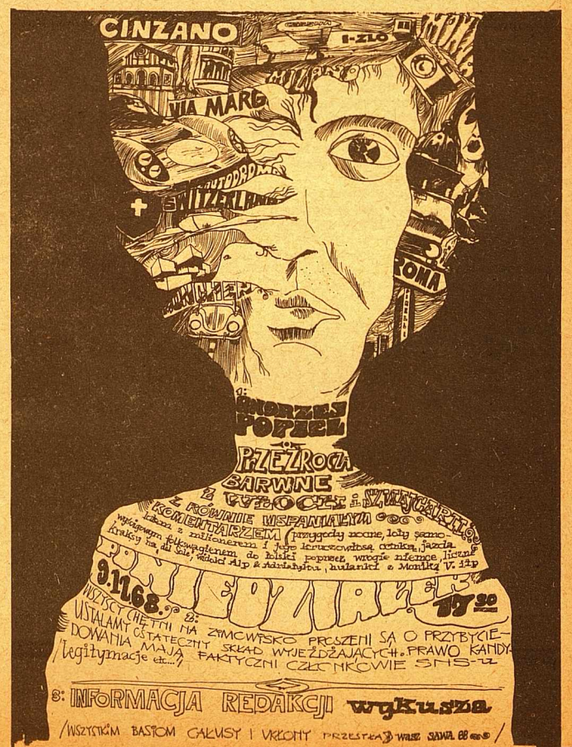

Cóż może być przyjemniejszego dla młodych architektów niż świadomość, iż projekt ich - chyba po raz pierwszy - nabierze realnych kształtów!

Obecnie - na podstawie materiałów przywiezionych z Bystrzycy - Koło opracowuje plan uporządkowania i rozbudowy parku w ramach ogólnej koncepcji urbanistycznej stworzenia z Bystrzycy centrum ruchu turystycznego. Opracowuje się również plan zagospodarowania terenów rekreacyjno-sportowych wokół mającej powstać na rzece zapory, a także projekt pomnika upamiętniającego powrót tych ziem do Macierzy.

Mimo obfitego programu pracy naukowo-społecznej, zawsze znalazł się czas na turystykę i malowanie, na wypoczynek i dyskusje, śpiew i zabawę.

Młodzi architekci wrócili z obozu usatysfakcjonowani. Zostawili w Bystrzycy trwałe ślady swej działalności, zyskali nowych przyjaciół i protektorów wśród ojców i mieszkańców miasta.

Wydawać by się mogło, że na temat Koła Architektów można pisać tylko panegiryk. O czymże bowiem może świadczyć zafundowanie sobie przez Koło tzw. "papieru firmowego" z wizytówką w dwóch językach - jak nie o wielkich zamierzeniach?!

Czy jednak jest tak dobrze?

4.

Koło zostało zaproszone do zorganizowania w bieżącym roku obozów naukowych w Międzygórzu (Kotlina Kłodzka) i na Ziemi Lubuskiej. Aby sprostać tym zaproszeniom, trzeba natychmiast zwiększyć ilość stałych członków Koła, która od dawna utrzymuje się w granicach 20-30 osób. Jak dotychczas - główną grupę Koła stanowią studenci IV roku, którzy za rok opuszczą Uczelnię. Jeśli nie wciągnie się do pracy studentów lat młodszych - może dojść do nowego "niżu" w działalności Koła.

W listopadzie 1968 roku odbyła się w Krakowie Ogólnopolska Sesja Studenckich Kół Naukowych. Mimo, iż jeden z tematów Sesji brzmiał: "Zagadnienie urbanistycznego i architektonicznego kształtowania zabudowy dla celów rekreacyjnych" - a więc pokrywał się z ostatnimi pracami i zainteresowaniami Koła; udział w Sesji był raczej skromny (choć obiektywnie trzeba stwierdzić, iż reprezentacja Koła była jedyną z Politechniki Wrocławskiej).

Ponadto konfrontacja z osiągnięciami kół naukowych architektów środowiska krakowskiego wykazała, jak wiele jest jeszcze do zrobienia u nas.

Koła naukowe (tak, koła, gdyż na Politechnice Krakowskiej odrębne koła istnieją przy poszczególnych katedrach) - mogły się poszczycić ścisłą i owocną współpracą z Katedrami i pracownikami naukowymi. Pozwala to na podejmowanie bardziej specjalistycznych problemów i rozpracowywanie ich pod okiem fachowców. Jest to więc praca naukowa w ściślejszym tego słowa znaczeniu ukierunkowana, praca, która może stanowić doskonałe "preludium" do ewentualnej, przyszłej pracy naukowej w katedrze. A zatem koła naukowe - kuźnią nowych kadr naukowców.

Nie proponuję naśladownictwa, bo różnorodność form pracy jest ogromna. Jednakże zacieśnienie i rozszerzenie współpracy z poszczególnymi zakładami naukowymi, a przede wszystkim z ocenionymi naukowcami - wydaje się niezbędne. Pozwoliłoby to na głębsze, specjalistyczne opracowanie problemów, na uniknięcie realnej groźby dyletantyzmu ... A tej współpracy nie ma!

Zasygnalizowałem tylko niektóre mankamenty w pracy Koła. Wiele jest jeszcze do zrobienia, wiele do udoskonalenia, aby nie doszło do "stabilizacji progresu", bo stąd już tylko krok do ... regresu.

Aby nie tylko duch był ochoczy.

TADEUSZ MARIAN KRAWCZYK

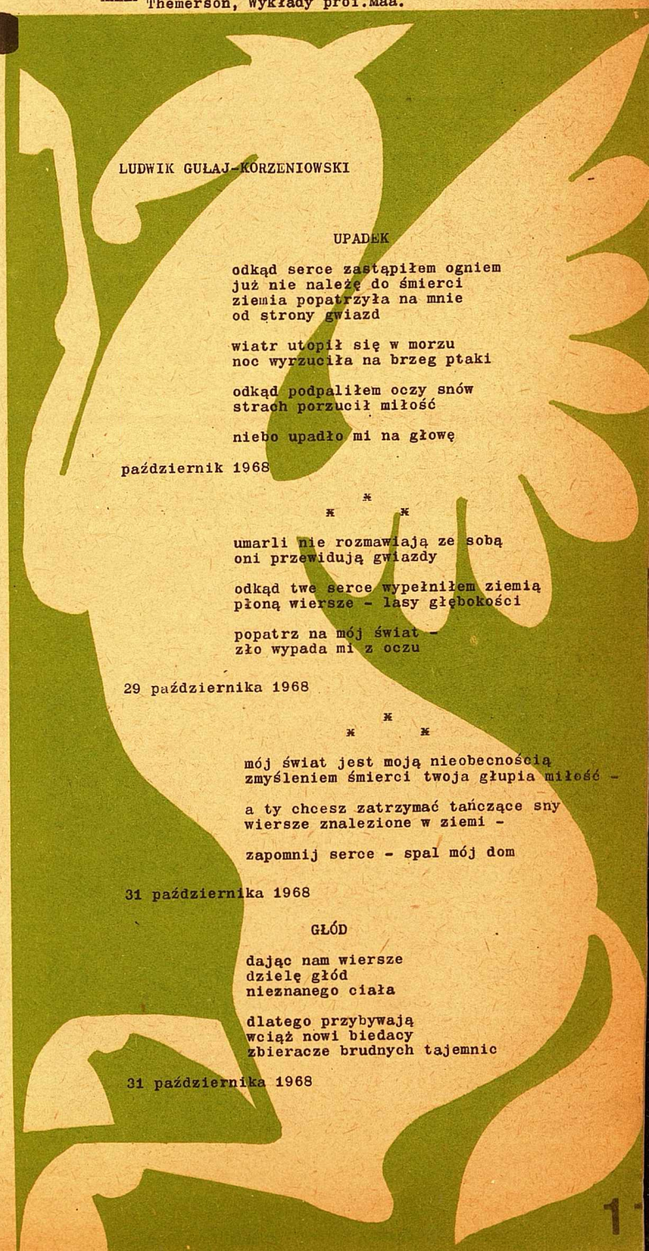

LUDWIK GUŁAJ-KORZENIOWSKI

UPADEK

odkąd serce zastąpiłem ogniem
już nie należę do śmierci
ziemia popatrzyła na mnie
od strony gwiazd

wiatr utopił się w morzu
noc wyrzuciła na brzeg ptaki

odkąd podpaliłem oczy snów
strach porzucił miłość

niebo upadło mi na głowę

październik 1968

* * *

umarli nie rozmawiają ze sobą
oni przewidują gwiazdy

odkąd twe serce wypełniłem ziemią
płoną wiersze - lasy głębokości

popatrz na mój świat -
zło wypada mi z oczu

29 października 1968

* * *

mój świat jest moją nieobecnością
zmyśleniem śmierci twoją głupią miłość -

a ty chcesz zatrzymać tańczące sny
wiersze znalezione w ziemi -

zapomnij serce - spal mój dom

31 października 1968

GŁÓD

dając nam wiersze
dzielę głód
nieznanego ciała

dlatego przybywają
wciąż nowi biedacy
zbieracze brudnych tajemnic

31 października 1968

Wstąp w szeregi AZS -to twój klub!

Mowo wybrany prezes AZS - Wojciech Wyczałkowski

Tym hasłem działacze organizacji sprotowej w naszej Uczelni zapraszają najmłodszych kolegów do wstąpienia w szeregi uczelnianego klubu.

Warto chyba powiedzieć, że jest to największy uczelniany klub sportowy w Polsce, liczący ponad dwa tysiące członków, którzy trenują w 22 różnych sekcjach. Możliwości wyboru właściwego treningu jest więc bardzo dużo.

Członkiem naszego "kombinatu sportowego" może być każdy student Politechniki, któremu chęci i zdrowie na to pozwalają. Może to być każda studentka i student, którzy zdecydowali się na wyczynowe uprawianie sportu w wybranej sekcji, zgodnie ze swymi umiejętnościami i zainteresowaniami - niezależnie od tego, czy uprawiali już kiedyś wybraną dziedzinę sportu wyczynowego, czy będą tu stawiać pierwsze kroki.

Zarząd klubu stwarza dogodne warunki treningowe swoim członkom - zarówno w okresie letnim na boiskach, jak i zimą w zamkniętych halach sportowych.

Nowi członkowie AZS-u - podobnie jak ich starsi koledzy - po wykazaniu się pracą w sekcjach, mają prawo do korzystania z wszystkich uprawnień członkowskich.

Są oni traktowani na równi z innymi podczas terningów i w miarę postępów mogą brać udział w zawodach i spartakiadach. Chodzi tu zarówno o zawody wszystkich typów, jak też o specjalne zawody dla studentów lat pierwszych.

fot.A.Milli

Ustępujące prezydium Walnego Zgromadzenia AZS z przewodniczącym - Dionizym Dudkiem.

fot.A.Milli

Audytorium złożone z członków AZS

ZADANIA AZS

fot.A.Milli

Wywiadu udziela członek Zarządu Głównego - A.Gonera

Wszyscy wiemy, że przy naszej Uczelni działa Akademicki Związek Sportowy. Jest to organizacja studencka, mająca na celu upowszechnienie i rozwój sportu na Uczelni.

Prowadzenie klubu wiąże się z wieloma zagadnieniami, często wykraczającymi poza ramy sportu. Niektóre z problemów, z jakimi borykają się członkowie Zarządu klubu, zostały przedstawione na Walnym Zgromadzeniu sprawozdawczo-wyborczym; inne wypływają z bezpośrednich rozmów z działaczmi klubu i członkami władzy nadrzędnej, czyli Zarządu Głównego AZS w Warszawie. Właśnie rozmowa z p. Arnoldem Gonerą - przedstawicielem Prezydium Zarządu Głównego - skłania do zastanowienia się nad pracą i jej warunkami w naszym uczelnianym klubie.

W rozmowie z p.Gonerą padło szumne może, ale jednak odpowiadające prawdzie, określenie naszego klubu jako "kombinatu sportowego".

Obecnie nasz klub uczelniany jest największą tego typu organizacją studencką w Polsce, zrzeszającą w swoich szeregach niebagatelną ilość - bo ponad 2000 członków, mimo, że klub działa przy nie największej przecież uczelni.

Tak masowy rozwój sportu na Politechnice pociąga za sobą wiele trudności organizacyjnych. Wiadomo, że klub otrzymuje dofinansowanie z Zarządu Środowiskowego AZS-u we Wrocławiu, który opiera swoje fundusze na dotacjach Zarządu Głównego.

W przypadku dużego liczebnie klubu konieczna jest zmiana przez Zarząd Środowiskowy sum przeznaczonych dla klubu i to oczywiście na korzyść naszego AZS-u. Jeżeli chodzi o Zarząd główny i środowisko, to nowe warunki w naszym klubie będą uwzględnione przy rozdziale funduszu w roku przyszłym i otrzymamy napewno odpowiednio więcej pieniędzy. Zapewnił nas o tym kol. Gonera.

Sytuacja, jaka wytworzyła się w ciągu 20 lat działalności klubu, pozwala przypuszczać, że fundusze przyznane przez nadrzędne jednostki zostaną wykorzystane należycie i zainwestowane na naprawdę potrzebne cele. Zapewnienie o dalszej przychylności władz naczelnych dla naszego klubu - to nie tylko możliwość otrzymania większych dotacji, wystarczających na rozwój uczelnianego sportu; to także duża odpowiedzialność, jaką to nakłada na nowy zarząd klubu. Odpowiedzialność za takie prowadzenie gospodarki finansowej i możliwościami klubu, jego działaczy i sportowców, żeby zapewnić dalszy rozwój i nie zawieść pokładanych nadziei.

Trzeba dodać, że na nowy zarząd klubu bardzo wszyscy liczą. Zarówno władze zwierzchnie jak i rzesza sportowców mają nadzieję, że zostaną szybko zlikwidowane pewne niedociągnięcia powstałe w klubie i jego pracy podczas lat ubiegłych.

Praca nie będzie na pewno łatwa, trzeba się jednak tak ustawić, aby wszyscy członkowie klubu mieli zapewnioną opie-

Przed wszystkimi członkami klubu otwarta jest możliwość udziału w obozach treningowo-wypoczynkowych, organizowanych w czasie przerwy międzysemestralnej i podczas wakacji letnich. Stanowią one przedłużenie treningów prowadzonych w czasie trwania roku akademickiego.

Nasz uczelniany klub - to nie tylko rekordowy związek pod względem ilości zarejestrowanych członków i działających sekcji; ma on także poważne osiągnięcia natury sportowej. Legitymuje się wieloma nagrodami, dyplomami i pucharami, zdobytymi indywidualnie i zespołowo. Wszyscy nowi członkowie klubu - podobnie jak ich koledzy z lat ubiegłych - jako pełnoprawni członkowie sekcji mogą być w przyszłości współtwórcami tych sukcesów.

Jeżeli nie wszyscy studenci pierwszych lat zdecydowali się jeszcze na zgłoszenie swego członkowstwa, za pewne zechcą to zrobić, mając ku temu możliwości. Wystarczy zwrócić się o poradę do doświadczonych starszych kolegów, czy to z Zarządu klubu, czy też bezpośrednio do trenerów poszczególnych sekcji; po takiej rozmowie wszystkie ewentualne problemy i niepewności zostaną wyjaśnione.

Pozostaje więc tylko życzyć młodym studentom naszej Uczelni, którzy odpowiedzieli na hasło AZS-u akcesem członkows - kim, wielu sukcesów i zadowolenia z pracy w organizacji sportowej, co da im zadowolenie także w życiu osobistym i na pewno pomoże w osiąganiu wystarczających wyników w nauce.

KRYSTYNA KLABIŃSKA

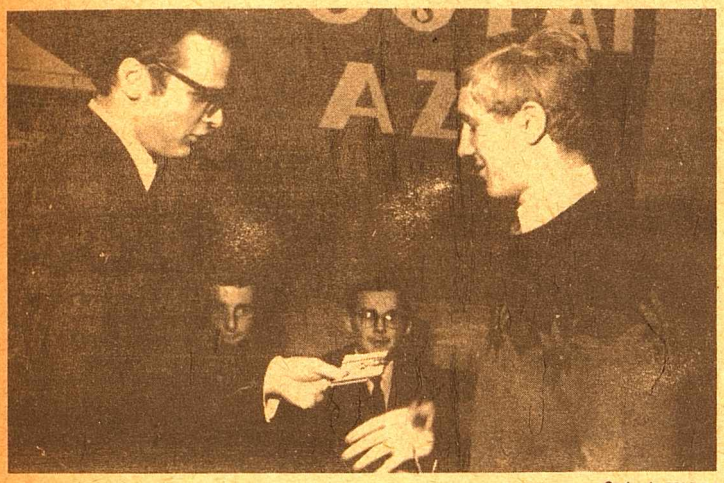

fot.A.Milli

2000 legitymację członkowską wręcza Z.Dudzie przewodniczący Zgromadzenia - Dionizy Dudek.

kę trenerską. Opieka ta zależy w dużej mierze od Studium Wychowania Fizycznego, od sposobu, w jaki studium - w porozumieniu z zarządem klubu - ustawi pracę trenerów. Porozumienie między tymi dwoma komórkami musi być oparte na mocy Zarządzenia, które mówi, że praca kadry trenerskiej, zatrudnionej w studium Wychowania Fizycznego polega na prowadzeniu obowiązków zajęć wychowania fizycznego oraz sekcji sportowych działających w klubie AZS-u.

Zarząd klubu - obok ustalenia szczegółowego planu wykorzystania obiektów sportowych, prowadzenia ćwiczeń przez kwalifikowaną kadrę - musi też w swojej kadencji zwrócić uwagę nie tylko na sport wyczynowy. Konieczne jest zajęcie się jak najszybciej sprawami sportu masowego i co za tym idzie - jedną z podstawowych jego form - turystyką. Zagadnienie turystyki sportowej zostało dotychczas zupełnie przez nasz klub pominięte. Wiadomo przecież, że jest to forma umasowienia sportu, że jest to sport w szerokim tego słowa znaczeniu. Forma ta daje duże możliwości skupienia szerokich rzesz studentów i związania ich ze sportem nie tylko w formie wyczynowego uprawiania, a sportem, który daje wiele dobrego samopoczucia, możliwość przebywania na świeżym powietrzu, w połączeniu z ruchem. Być może, że plany te zostaną zrealizowane wspólnie z innymi organizacjami studenckimi, działającymi w naszej Uczelni. Współpraca taka musi być jednak pomyślana w sposób, który gwarantowałby równouprawnienie wszystkim zainterowanym.

Zarząd Główny zapewnił wydatną pomoc w prowadzeniu zajęć propagujących sport. Daje także możliwość stwarzania kursów szkoleniowych dla członków AZS-u, chętnych do prowadzenia ćwiczeń sportowych z kolegami pragnącymi uprawiać sport masowy.

Dobrze się stało, że AZS wkroczył ze sportem do domów studenckich. Organizowane w nich drużyny sportowe biorące udział w rozgrywkach Ligi Domów Studenckich są pierwszymi w Polsce. Ta cenna inicjatywa naszego klubu ma na pewno duże szanse dalszego powodzenia. Najważniejsze jest jednak zbliżanie do sportu licznych mieszkańców akademików, pozwalające młodzieży na treningi i tym samym na możliwość zetknięcia się ze sportem.

Mamy nadzieję, że dotychczasowa działalność Zarządu klubu dobrze będzie kontynuowana przez nowych kolegów stojących na czele klubu oraz, że propozycje jej rozszerzenia wysunięte przez członka Prezydium Zarządu Głównego znajdą zrozumienie i będą realizowane przez klub w czasie nowej kadencji Zarządu.

KRYSTYNA KLABIŃSKA

Co z feriami?

Święta za pasem, a wraz z nimi okres ferii zimowych. W związku z perspektywą kilku wolnych od zajęć dni, zadałam naszym kolegom pytanie o plany świąteczno-sylwestrowo-karnawałowe.

Z wypowiedzi wynika, że są one niekiedy bardzo różne. W ilu wypadkach sprawdzą się całkowicie, w ilu niestety zawiodą i zostaną niespełnione. "Co będzie pokaże czas" - mówią słowa modnego niegdyś przeboju.

A oto niektóre wypowiedzi:

ANNA (I Sanit.) - jadę do rodziców. Mam okropną tremę; przedstawię im mojego chłopca. Myślę, że pochwalą mój wybór, ale czy na pewno? Nowy Rok powitamy na prywatce we Wrocławiu.

JACEK (Elektronika) - mieszkam we Wrocławiu. Święta spędzam razem z rodzicami i siostrą w domu. Zaraz potem jadę z koleżankami i kolegami do Szklarskiej na narty. Żeby tylko był śnieg. Może "Sigma" zamówi protekcyjnie?

EWA (Architektura) - pokłóciłam się dziś z moim chłopakiem. Ale to się przecież zdarza; do świąt na pewno będziemy znów razem i tak jak planowaliśmy - spędzimy święta i Sylwestra u Andrzeja w domu.

EWA I JACEK - razem jedziemy do rodziców Ewy na święta a do moich na Sylwestra; daleko mieszkają od siebie, dużo czasu stracimy na podróż. Ale to nieważne, grunt - że razem. Ewa już szaleje, bo szyje suknię, nawet podpatrzyć nie pozwala. Ba, Jacek za to nie ma kłopotów, ma garnitur dobry na wszystkie okazje, ale nad koszulą na pewno będzie myślał pół dnia.

JADZIA ("Parawanowiec") - Święta w domu u siebie, a Sylwester już we Wrocławiu, z moim chłopakiem o ile się nie pogniewa, bo nauka i szycie sukni zabiera mi dużo czasu i nie mogę się z nim dość często spotykać.

BARBARA - Święta w domu, zaraz potem wracam do Wrocławia. Nie mam żadnych planów karnawałowych, to może i lepiej. Nazbierało się dużo zaległości w nauce i przynajmniej będzie czas, żeby to odrobić, bo sesja blisko, więc lepiej nie ryzykować. A może jednak Sylwester?

ELA - jestem na urlopie. Odrabiam tylko jeden przedmiot. Pracę kończę w grudniu, więc chyba po świętach wyjadę trochę w góry. Tylko, że nie umiem jeździć na nartach więc wjadę na salę balową na sankach.

ANDRZEJ - jak co roku, zaraz w pierwszy dzień świąt - w góry do jednego ze schronisk. Miejsce już zarezerwowane, plecak prawie gotowy, garnitur wyczyszczony, Grażyna też przygotowana. Żeby tylko był śnieg. No i jak tu pisać kartkówki, kiedy tyle planów w głowie.

KRYSTYNA (Architektura) - zostaję na święta w domu we Wrocławiu, niestety bez swojego chłopca. Ale przyjedzie już 26.XII. Do tego czasu mam zamiar się uczyć (oby!). Nowy Rok - oczywiście w jednym z klubów studenckich. Żeby tylko nie pili tyle, co w roku ubiegłym, to będzie pięknie.

KRYSTYNA KLABIŃSKA

Konkurs fotograficzny

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU ORGANIZOWANEGO PRZEZ STUDENCKĄ AGENCJĘ FOTOGRAFICZNĄ pt. "CZY TYLKO WYPOCZYNEK"

Jury w składzie: mgr inż.arch. Marian Fijałkowski, Adam Mucha, Andrzej Adamczyk postanowiło: nie przyznać I nagrody, II nagrodę w wysokości 400 zł autorowi "Franciszek" (Jan Chwiszczuk, wydz.Bud.Lądowe), III nagrodę w wysokości 300 zł autorowi "Anna 17986", I wyróżnienie w wysokości 200 zł autorowi "Franciszek" za zdjęcie "Chwile wypoczynku", dwa II wyróżnienia, w wysokości 150 zł, autorowi "Anna 17986" za zdjęcie pt. "Duet" i autorowi "Półprzewodnik" (autor nie podał nazwiska) za zdjęcie pt. "Wejście do warsztatu".

Energiczna pani

Stojących w stołówce Politechniki w "T-2" po obiad studentów od czasu do czasu rozsuwa energiczna pani niosąca szufladę pełną sztućców. Burzy kolejkę i z ogromnym hałasem wysypuje noże, łyżki i widelce do poustawianych na stole szuflad. Energiczna pani szamoce się z szufladami, przesuwa je, wynosi puste.

A tuż za stołem, na którym układa się owe szuflady, znajduje się niewielkie okienko do zaplecza kuchennego. Tak jak gdyby było stworzone do tego, aby przez nie bezszelestnie wysuwać puste a wsuwać pełne szuflady. Jest ono jednak stale zamknięte i właściwie zupełnie nie wiadomo, do czego miało służyć. Wydaje się, że obsługa kuchenna zapomniała o nim, a może warto byłoby sobie przypomnieć?

JADWIGA WYSŁOUCH

fot.A.Milli

W centrum Placu Grunwaldzkiego obok wyniosłej "Dwudziestolatki" i rozpychającego się "Parawanowca" stoi przycupnięty domek z pochyłym czerwonym dachem.To dom studencki Politechniki "Telemik". A jeszcze nie tak dawno był jedynowładcą całego placu. Równo przed dziesięciu laty 9.11.1958 roku dzienniki wrocławskie roztaczały przed swoimi czytelnikami wspaniałą wizję miasteczka akademickiego zabudowanego jednakowymi jak krople wody bliźniakami "Telemika". Nie doszło do tego. Może na szczęście, może niestety, trudno w tej chwili ocenić. Lata mijały, zmieniały się wymagania, style i gusty, a "Telemik" stał i służył studentom. Dziesięć lat. Dużo to, czy mało? dla budynku to niewiele. Przez dziesięć lat nie powinien stracić młodzieńczego wyglądu, ani podstawowych zalet, w jakie został wyposażony. Ale "Telemik" - to nie tylko budynek, to przede wszystkim ludzie. Tutaj obowiązuje inna miara czasu. Dziesięć lat - to różnica między studentem, a pracownikiem naukowym, to różnica między swawolnym młodzieńcem, a ojcem rodziny. To dziesięć pokoleń absolwentów. Ludzi, którzy się wychowali i ukształtowali właśnie w akademiku. Ludzi, którzy przeżyli tutaj swoje pierwsze pijaństwo, pierwszą miłość, pierwsze dorosłe sukcesy i niepowodzenia. Nie mieli obok siebie rodziny,ani bliskich; mieli tylko cztery proste ściany i kolegów.Sami dla siebie tworzyli dom, ciepło, byli sobie przyjaciółmi i doradcami.

Komuś, kto nigdy nie mieszkał w domu studenckim trudno uwierzyć, jak zamknięty krąg tworzy on dla wielu mieszkańców. Nie ma kontaktów z innymi środowiskami, często nie ma nawet znajomych, ani przyjaciół z zewnątrz. Jest skazany sam na siebie. Bardzo często w akademikach obowiązuje ten sam jednakowy dla wszystkich styl bycia, te same mody. Nawet zainteresowania bywają ukierunkowane przez coś co,w danym momencie jest dobrze przez tę maleńką społeczność widziane,co się liczy. I tu problem. Jakie wartości pozafachowe reprezentuje absolwent, który mieszkał w domu studenckim? Bo trzeba wiedzieć, że taka mikrospołeczność ma własne prawa, własne obyczaje, własny pogląd na moralność i kulturę osobistą człowieka. Wszystko zależy od tego, kto nadaje ton, jakie wzory są naśladowane, jakie wartości uważa się za podstawowe. Aby to wszystko szło w pozytywnym kierunku, konieczni są odpowiedni ludzie. Tacy znajdują się w każdym środowisku. Ważne, żeby ich dostrzec, żeby wszyscy, którzy mają na tym polu jakiekolwiek możliwości, udzielili im pomocy i poparcia. Wtedy jest szansa, że akademiki staną się kuźnią ludzi dużego formatu.

Ale wróćmy do naszego jubilata. Czy udawało mu się być domem i wychowawcą? Myślę, że spokojnie można udzielić odpowiedzi twierdzącej. Na dowód nie będę przytaczał pochwał,wyróżnień,i dyplomów jakie DS T-2 otrzymał na przestrzeni swojego istnienia. Wystarczająco wymowne powinny być odczucia i opinie samych mieszkańców. Żaden nie zamieniłby niezbyt wykwintnych przecież izdebek na komfortowe nawet apartamenty. Przeniesienie do innego, chociaż lepiej wyposażonego akademika, traktowane jest jako kara.Wszyscy czują się tutaj gospodarzami. Wiedzą, że są u siebie. "Telemik" jest dla nich nie tylko dachem nad głową, ale prawdziwym, przyjaznym domem.

Z okazji jubileuszu zorganizowano w "Telemiku" dużą imprezę. Zaproszeni goście i mieszkańcy zapewne długo będą ją pamiętali. Ale nie impreza jest tu najważniejsza.Najważniejsze, że mieszkańcy dbają o honor i splendor swojego domu.Optymistyczne, że umieją to robić.

bag

fot.A.Milli

fot.A.Mill

Z zainteresowaniem śledzono występy kabare

fot.A.Mill

JM Rektor, prof. Zygmunt Szparkowski, umieszcza swój autograf - jako drugi po "matce chrzestnej"

Noworoczne remanenty

Słownik wyrazów obcych podaje, że słowo "remanent" oznacza "Stan zapasów materiałów, wyrobów, towarów lub inwentaryzację". Nowy rok skłania nas do takiej inwentaryzacji w dziedzinie problemów, które przewinęły się na łamach naszego magazynu w ubiegłym roku.

Dwukrotnie Basia Lip stawiała pytanie: "Co z tą biblioteką?" (nr 1,3). Odpowiedzi do tej pory nie uzyskaliśmy. Liczącą 20 tys. tomów bibliotekę przeniesiono z gmachu AZS do sali 144 w Gmachu Głównym, zupełnie się do tego celu nie nadającej. Zwolnione pomieszczenie miało być przeznaczone na "Klub Olimpijczyka"; dotychczas stoi jednak puste. Przy okazji nasuwa się pytanie, czy klub ten jest rzeczywiście potrzebny?

"Dlaczego tak drogo studenci Wydz. Chemii płacą za zniszczony sprzęt laboratoryjny?" - oto kolejne pytanie,jakie padło z łam naszego pisma i pozostało bez odpowiedzi (nr 2).

W dalszym ciągu otwarta zostaje sprawa zorganizowania w obrębie gmachu Inżynierii Sanitarnej pawilonu lub kiosku konsumpcyjnego dla studentów, szczególnie dla tych w mundurach (nr 5).

Czasami jednak brano sobie do serca problemy, jakie zasygnalizowaliśmy. Np. po notatce o nieestetycznym hallu w gmachu Inżynierii Sanitarnej pojawiły się stoliki,na których niekiedy znajdzie się kwiatek. Co prawda, ściany pozostały odrapane, ale liczymy, że i to się zmieni ...

* * *

Po smacznym śniadaniu, zjedzonym w estetycznie urządzonym pawilonie w gmachu Inżynierii Sanitarnej wyszedłem przez ładnie odmalowany hall udając się do czytelni biblioteki beletrystycznej, mieszczącej się teraz w przestrzennych i jasnych pomieszczeniach. Chciałem przejrzeć najnowszą prasę.

Ze stolika obok doleciał mnie strzęp rozmowy, prowadzonej przez kilku chemików: "Od czasu, kiedy mniej płacimy za szkło, stypendium wystarcza mi na cały miesiąc".

W tym momencie obudziłem się. A więc to był TYLKO SEN.

JAGA

Lektury nieobowiązkowe

Kafka po japońsku

Nie bez racji krytyka nazwała Abe Kobo japońskim Kafką. Wiele wspólnego posiadają bowiem utwory tych dwóch pisarzy, zarówno w klimacie zgęszczonej prozy, jak i w problematyce oscylującej wokół osamotnienia człowieka. Samotna jest kobieta i samotny "dodany" jej mężczyzna. Powieść1/ otwiera motto następujące: "Bez groźby kary nie ma radości w ucieczce". Stwierdzenie to od razu wprowadza czytelnika w istotę problemu, wytycza działanie bohatera - tego mężczyzny, którego wbrew jego woli "dodano" samotnej "kobiecie z wydm". Mężczyzna podejmuje walkę od razu po uświadomieniu sobie faktu przemocy, jednak jego poczynania są tak samo niekończącymi się wzmaganiami jak walka z bezustannie osypującym się piaskiem. Mężczyzna pragnie uwolnić się zarówno od kobiety jak i od bezsensownej - w jego mniemaniu - pracy przy usuwaniu piasku. Kobieta natomiast chce zatrzymać przy sobie tego mężczyznę przydzielonego jej przez gminę, jak i kontynuować pracę, którą uważa za swój lokalno-patriotyczny obowiązek. Są oni samotni oboje razem, samotni są oddzielnie, samotna jest gmina wegetująca na jałowych wydmach. Mężczyzna wszelkimi dostępnymi mu środkami usiłuje uwolnić się z absurdalnej sytuacji. Próbuje pokonać piaszczystą ścianę jamy, na której dnie znajduje się "dom", próbuje podstępnie zwieść czujność mieszkańców wioski; raz nawet udaje mu się przy pomocy liny wydostać na powierzchnię, ale grzęźnie w nawarstwionych jak w "andrucie" pokładach śniegu i piasku. Pomocy udzielają mu mieszkańcy tej samej wioski, z której usiłował uciec, ale za cenę podjęcia wraz z kobietą dalszej pracy.

"Od czasu nieudanej ucieczki mężczyzna stał się bardzo ostrożny. Przystosował się do życia w tej dziurze i traktował je jak rodzaj snu zimowego, koncentrując swe wysiłki na uśpieniu czujności mieszkańców wioski. Podobno powtarzanie tego samego wzorca może mieć taki skutek jak kolor ochronny. Jeśli uda mu się wtopić w nurt powtórzeń, które się składają na codzienne życie, to być może z czasem mieszkańcy wioski zapomną o jego istnieniu". Bohater jednakże nie przewidział grożącego mu niebezpieczeństwa, przyjmując ową postawę; po prostu czas działał na jego niekorzyść. Zaaklimatyzował się w narzuconych mu warunkach, zaakceptował nawet kobietę, do której go przydzielono, wchłonął go bez reszty tok powtarzających się czynności do tego stopnia, że nawet wówczas, kiedy już bez trudu mógłby opuścić wioskę dobrowolnie pozostaje w jamie i z regularnością automatu usuwa co noc wciąż zsypujący się piasek.

Powieść ta została sfilmowana w Japonii przed kilku laty, a widz polski miał możność obejrzenia jej filmowej wersji.

Kosmogonia pozornie na wesoło

Italo Calvino jest dobrze znany polskiemu czytelnikowi. Jego trylogię "Nasi przodkowie" wydał w latach 1963-65 "Czytelnik". Obecnie wydana książka2/ stanowi zbiór opowiadań monotematycznych o początkach wszechświata i powstawaniu życia na ziemi. Narrator Qfwfq jest wytworem ewolucji od początków kształtującej się energii poprzez jej materializację do stanu uczłowieczenia. Każde z opowiadań zaopatrzone jest w naukowe motto, które pod piórem Calvino rozwijane i zobrazowane uzyskuje "kosmiczny" kształt. Ta fantastyczna wizja powstawania materii i życia obfituje zarówno w momenty groteskowe, ironiczne i tragikomiczne. Bawią wspinaczki na księżyc przy pomocy drabiny, gra w atomy między Qfwfq i Pfwfp, wój, który zbuntował się i pozostał rybą, chociaż inni członkowie rodziny zamieszkali już na lądzie .. zaś dziwnym niepokojem napawają ewolucyjne mutacje ukazane na przykładzie tajemniczego wymarcia Dinozaurów i zajęcie ich pozycji przez Nowych, wieczne spadanie narratora, Urszuli H'x i Porucznika Fenimore w przestrzeni kosmicznej pozbawionej grawitacji, czy perypetie niematerialnych świadomości podczas utwardzania się materii.

Autorowi udała się próba zagęszczenia czasu kosmicznego; potrafi też nagiąć nieliteracki temat do formy artystycznej, niełatwej jednak dla tych czytelników, którzy nie zechcą zaakceptować proponowanych reguł tej "kosmikomicznej" zabawy. Pisarz wymaga bowiem od odbiorców tej prozy "kosmicznej" wyobraźni i szczególnej umiejętności dointerpretowania quasi-absurdalnych obrazów i sytuacji.

Od faszyzmu do "cudu gospodarczego"

Edukcja Simpliciusa przebiegała zgodnie z założeniami goebelsowskiej szkoły wychowanków führera: uczono go nienawidzieć Żydów dlatego, że są żydami, Rosjan i Polaków dlatego, że to "untermänschen", wpajano mu mit nadczłowieka i teorię szczególnej misji dziejowej Niemców. Heinz Küpper - młody pisarz (ur.1930) zachodnioniemiecki - w swej powieści 3/ bezlitośnie obnaża mechanizm faszystowskiej deprawacji niemieckiej młodzieży. Ten niby-pamiętnik młodego nazisty rejestruje poszczególne fazy ujarzmiania i "urabiania" nieukształtowanych jeszcze umysłów.

Hitlerjugend skutecznie formowała przyszłe mięso armatnie Niemiec. Okłamywani przez propagandę, łudzeni iluzjami szybkiego i totalnego zwycięstwa, młodzi, z nielicznymi wyjątkami, ulegali fascynacji mitów. Byli karni i zdyscyplinowani, gotowi spełniać każdy rozkaz führera. Nawet widoczna klęska "tysiącletniej rzeszy" nie potrafiła wykorzenić wpojonej im buty i wiary w ostateczne zwycięstwo. Zamieniające się w gruzy pod bombami amerykańskich Marauderów nadreńskie miasteczko, śmierć bliskich i znajomych - nie uwolniły młodych umysłów od iluzji. Bohater do końca pozostaje nazi, nawet wtedy, gdy miasto okupowane zostaje przez Amerykanów, a przegrana przez Niemców wojna jest już faktem dokonanym.

Ta powieść o zrabowanym życiu jest przerażającym dokumentem nieobliczalnych szkód, jakie faszyzm wyrządził w umysłach własnego narodu.

Faszyzm dokonał masowego "odczłowieczenia" sprowadził ludzi do roli funkcji. Tak uformowany materiał ludzki w krótkim czasie (przy wydatnej pomocy amerykańskiego kapitału) uczynił swe państwo krainą "miodem i mlekiem" płynącą.

Druga powieść Küppera, zawarta w omawianej książce, ukazuje powojenne Niemcy - odbudowane, z nowoczesnym przemysłem, nieprawdopodobne kariery zdyscyplinowanych biznesmenów - a takim jest Wolfgarten - kierownik personalny zakładów Faberbeina. Hipnoza kariery tłumi wszelkie uczucia. Wolfgarten nie jest zdolny do miłości, do odwzajemnienia uczucia Ireny Luckow - uciekinierki z NRD. Spod tej hipnozy wyzwala się dopiero po tragicznej śmierci Ireny, na której dokonano morderstwa na tle seksualnym. Quidam - narrator a zarazem oskarżyciel - demaskuje pozory niemieckiego "cudu gospodarczego", ubóstwo wewnętrzne i emocjonalne zachodnioniemieckiego społeczeństwa.

Te dwie powieści godne są polecenia szczególnie polskiemu czytelnikowi, któremu nie wolno pozostawać obojętnym wobec wszelkich przejawów życia we współczesnych Niemczech, wobec historii narodu, która z historią naszego narodu jest ściśle i tragicznie spleciona.

Wszystkie trzy omawiane pozycje ukazały się w serii "Współczesna proza światowa" wydawanej przez PIW. Książki tej serii gorąco polecam wszystkim miłośnikom interesującej i wartościowej prozy.

ERNEST DYCZEK

1/ Abe Kobo: Kobieta z wydm. przekł. z japońskiego Mikołaj Melanowicz, PIW, Warszawa 1968, s.176.
2/ Italo Calvino: Opowieści kosmikomiczne, przełożyła Barbara Sieroszewska, PIW, Warszawa 1968, s.156.
3/ Heinz Küpper: Simplicius 45. Miód i mleko, przełożyła Cecylia Lewandowska, PIW, Warszawa 1968, s.312.

JUŻ STAROŻYTNI...

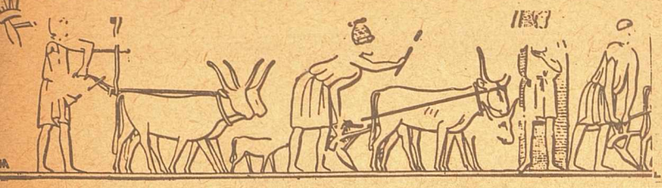

BYŁA RAZ BIBLIOTEKA ...

Była raz biblioteka na zachód od ujścia Nilu; była w mieście założonym przez największego z Aleksandrów, a właściwie w mieście Troas zwanym Antigonia Troas - Antigonia od założyciela, bo zanim ów wielki wódz ujrzał światłość dnia i zanim stał się wodzem na tyle wielkim, iż mógł ze swą armią zawędrować aż nad ujście Nilu, był Grek emigrant, czy może tylko turysta; był Grek Antygones, który osiadł tam, zamieszkał, rozmnożył się do rozmiarów osady - po to, by w 332 roku (przed twoją, czytelniku, erą) mógł tam przyjść Aleksander, a za nim Ptolomeusz pod rękę z Soterem; by oni wszyscy mogli tam przyjść i założyć to, co później rozbudował, rozwinął Ptolomeusz Filadelf, syn jednego z nich - rozbudował a zniszczył kalif Omar, choć jeszcze wcześniej przyczynił się do tego Cezar. Ale Brutus zatapiając sztylet w jego piersi nie dokonał zemsty, bo zwoje papirusów, woskowych tabliczek, nie posiadają swych mścicieli, albo lepiej: zemsta tych zwoi, tabliczek, nie wymaga krwi, za to działa wolno przez wieki; bo zemsta jest brakiem wiedzy, brakiem kultury, bo zemstą jest wtórne barbarzyństwo.

Więc była raz biblioteka i był jej kierownik zwany Zenodotem z Efezu. Potem byli inni: Eratostenes, Apolionos Ediograf, Arystarch z Samotrake ... Kwitła praca, rozwijała się filozofia, poezja, posuwały się naprzód nauki bardziej uściślone; wzbogacił swój umysł człowiek i rozszerzył się świat. Rosła liczba zwoi zapisanego papirusu i już nie wystarczał gmach, okazały przecież, gmach duży na placu w dzielnicy miasta, zwanej Buchejonem. Pękały mury z ciosanego kamienia, uginała się ziemia nie od ciężaru woskowych tablic, zwojów papirusu, a od potęgi zgromadzonej wiedzy. Samotna palma na klombie z szacunkiem chyliła swoje kosmate liście, kiedy w lektykach wynoszono to wszystko, co do tej pory potrafił zauważyć człowiek; przenoszono do świątyni Serapisa, gdyż w Buchejonie nie było już miejsca. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że przyjdzie tu w 47 roku mojej ery Cezar i ognistym mieczem przekreśli Buchejon, a potem po wielu latach, bo w roku 641, ale już twojej czytelniku ery, to samo zrobi po raz wtóry jeden z synów proroka: kalif Omar.

A potem świat musiał długo błąkać się w ciemnościach średniowiecza.

Była raz biblioteka na zachodzie kraju w starym grodzie nad Odrą; była w miejscu, gdzie człowiek wydziera tajemnice przyrodzie, tam gdzie posuwają się mniej lub więcej naprzód nauki uściślone i gdzie kształtuje się przyszłość poprzez kształtowanie umysłów młodych ludzi. Była raz biblioteka na Politechnice Wrocławskiej i był człowiek, który ją założył. Był również pierwszy jej kierownik, ściślej mówiąc: kierowniczka; a zwoje papirusów zastąpiły książki, równo, porządnie ułożone w szeregu na drewniach półkach. Książki czysto oprawione o różnych formatach i chyba jeszcze bardziej różnych treściach. Poukładane według nazwisk ich twórców, czy według numerów inwentarza. Tak czy inaczej to wszystko było, bo tak być powinno, bo osobnikowi, który chcąc lub nie chcąc wkuwa ścisłą wiedzę, czy pracuje nad posuwaniem naprzód tej wiedzy, należy się wytchnienie, relaks, odpoczynek; a to właśnie znajduje się tam, co niegdyś nosiło miano papirusów a teraz - książek. Dla studenta, czy naukowca jest wręcz konieczne oderwanie się od całek, chemicznych wzorów, elektronicznej aparatury; oderwanie się przynajmniej na moment, bo to niezależnie od wypoczynku, jaki daje, pozwala również na oddech dla mózgu; bo to jeszcze dodatkowo poszerza horyzonty, uelastycznia mózg, czyniąc z biorobota, jakim prędzej czy później staje się każdy student, każdy naukowiec - więc czyniąc z tego biorobota człowieka.

Więc była raz biblioteka i była jej kierowniczka (naturalnie z wiadomych czytelnikowi względów, nazwisk w tej części felietonu nie zamieszczam), rosła liczba książek, tak, że z małego pokoiku światli ludzie przenieśli ją do dwóch dużych sal, urządzili czytelnię, a całość nazwano studenckim klubem. Rosła, rozwijała się Uczelnia, przybywało ludzi, przybywało katedr: Gmach Główny pozostał ten sam. Skoro ceglane ściany nie chciały się rozciągać, należało coś usunąć, by inne "coś" mogło wejść w to miejsce. Tak też w miejsce biblioteki i studenckiego klubu weszła, pozostająca do dziś, katedra Ekonomiki. Decyzję podjęli również światli ludzie - światli dlatego, że powiedzieli wprawdzie: - Rozstaniesz się z Gmachem Głównym. - Ale powiedzieli także: - Pójdziesz na przystań, na pierwsze piętro. Tam blisko woda, tam spokój. - Decyzja ze wszech stron uzasadniona.

Była więc biblioteka przez wiele lat na przystani, była, aż nagle znikła; zapadła się pod ziemię, czy co? Musiało się coś stać, bo przecież w tym okresie rejestry straży pożarnych nie wykazują żadnego większego pożaru, nie mówiąc już o pożarze książek.

Była raz biblioteka, była do czasu, zanim któryś z biorobotów nie wyśnił sobie osoby Cezara, czy postaci kalifa Omara; zanim przyśniło się komuś, że książki przecież nie posiadają mściciela - wiemy, że to nieprawda ... Albo może, któryś poczuł strach przed czymś, czego nie mógł pojąć: strach przed poezją, prozą; strach okropny, tym większy, że poczuć musiał poprzez swój zmechanizowany mózg, iż proces zbiorobocenia może być przez tamtó wszystko zatrzymany.

Była raz biblioteka ... w tej chwili otrzymałem właśnie telefon, że jeszcze jest, wciśnięta pomiędzy ściany malutkiego pokoiku w Gmachu Głównym.

TUTMOZIS

fot. A. Milli

Wojciech Siemion we Wrocławiu

Z Wojciechem Siemionem rozmawiam godzinę przed spektaklem "Śmieszny staruszek", do którego właśnie aktor starannie charakteryzuje twarz. Okazją do złożenia tej wizyty jest oczywiście przyjazd p. Siemiona do Wrocławia.

-Czy zechciałby pan zdradzić nam powody, które zdecydowały o zmianie środowiska na wrocławskie?

-Większość naszych aktualnych sytuacji można nazwać przypadkowymi. Tak się złożyło, że z Krystyną Skuszanką i Jerzym Krasowskim od wielu lat łączą mnie dość mocne więzy. To, co zaproponowali mi we Wrocławiu, jest dla mnie naprawdę interesujące. Poza tym - Wrocław obecnie stał się jednym z najciekawszych ośrodków teatralnych. Jako ilustracja niech posłuży fakt, że widz jest bardzo dobrze przygotowany do odbioru; dajemy dziś (26.XI.68 r.) 15-te przedstawienie "Śmiesznego staruszka" przy pełnym komplecie widzów, podczas kiedy w Warszawie ta sama sztuka szła tylko kilka razy. Ja naturalnie korzystam tylko z wcześniejszej cudzej pracy w tym kierunku.

- Decydując się na przyjazd do Wrocławia był pan zatem zorientowany w zamierzeniach dyrekcji Teatru Polskiego w odniesieniu do pana osoby; jak przedstawiają się one w konkretach?

-Zaproponowano mi rolę w "Śmiesznym staruszku" (reż. Helmut Kajzer) Tadeusza Różewicza i w "Kondukcie" Bohdana Drozdowskiego (reż. Jerzy Krasowski). Są to dla mnie propozycje niezwykle istotne - choćby z tego względu, że wolę zagrać w sztuce współczesnej, niż w najlepszej klasycznej. Zdaję sobie sprawę, że jest to herezja w stosunku do ogólnej opinii aktorów, którzy głównie marzą o zagraniu "roli". Dla mnie najistotniejsza jest możliwość wprowadzenia czegoś nowego. Jeżeli te nowe propozycje sprawdzą się na scenie - jestem bardzo zadowolony. Mam także swoje prywatne - już konkretnie związane z Wrocławiem - plany. Chciałbym mianowicie w Muzeum Architektury zrobić dwa programy: "Wielki testament" Franciszka Villona i "Koncert na zegary" Henryka Zdanowicza, uzupełniony sonetami o czasie Szekspira. W najbliższych dniach przewiduję także program, który poświęcam w całości pracom graficznym Józefa Gielniaka (Muzeum Śląskie).

-Skoro już jesteśmy przy planach - a co dalej?

-Z reguły aktor nie przeżywa w ciągu jednego sezonu więcej niż dwie premiery. I jeżeli może powiedzieć o swoich planach na najbliższą przyszłość - to już bardzo dobrze.

-Czy to znaczy, że pana związek z Wrocławiem jest tylko sezonowy?

-Aktorzy angażowani są w ogóle tylko na sezon. Oczywiście dyrekcja teatru może mieć określone plany w stosunku do określonych aktorów...

-Wiadomo mi, że ostatnio wyjeżdżał pan na zdjęcia plenerowe; z czym konkretnie są one związane?

-Właśnie skończyłem pracę w filmie Jerzego Passendorfera "Kierunek - Berlin". Wstyd się przyznać, ale gram w nim główną rolę...

-Kiedyś w bardzo pochlebnym omówieniu stylu gry aktorskiej jaką pan reprezentuje, spotkałam między innymi określenie, że interpretacja tonalna utworów ma u pana charakter fujarkowaty... że często takie właśnie ustawienie głosu denerwuje pana, co powoduje z kolei znacznie zwiększoną ekspresyjność. Jeżeli uważa pan, że opinia krytyka w jakimś sensie dotyka prawdy, proszę mi wyjaśnić, na czym polegają, czy czym są powodowane te chwile buntu? Niepewności?

- ...

W tej chwili kolejna delegacja uczennic szkół podstawowych przerywa nam rozmowę. Kwiaty, maskotki, prośby o wizytę, całe pliki pamiętników, do których Wojciech Siemion z dużym spokojem i cierpliwością wpisuje różnego rodzaju teksty. Zwróciłam uwagę na fakt, że rysuneczki, pod którymi aktor się podpisuje, przedstawiają zawsze tę samą postać. Stąd moje następne pytanie (dokładnie przygotowany szkic rozmowy okazał się bezużyteczny już po pierwszym pytaniu; pozostawała tylko - improwizacja):

- Czy taki jest właśnie bohater ulubionych przez pana sztuk?

-Takim po prostu one (dzieci) mnie znają. Bohatera nie można sobie wybrać; człowiek w każdej najbardziej aktualnej chwili s t a j e s i ę bohaterem. Tu wybór jest bezużyteczny. Che - dla przykładu - wybrał bohaterstwo, ale gdyby mu o tym powiedziano wprost, prawdopodobnie roześmiałby się. Chodzi więc tylko o realizację idei. Osobiście jestem sługą poetów i kochankiem malarzy. I to określa mnie w sensie życia społecznego. Jeżeli uda mi się być usłużnym poecie - jestem rad i zadowolony. Z reguły, kiedy mogę decydować - wybieram coś przeciwko sobie; "Historia o chwalebnym zmartwychwstaniu pańskim" czy "Żywot Józefa" spowodowały, że z rozkoszą wpadłem w rolę "Śmiesznego staruszka".

-A propos: jak się pan czuje w tej ostatniej roli?

-Ciągle jeszcze szukam nowych rozwiązań; pewnych rzeczy nie udało mi się jeszcze do końca dopracować. I tak naprawdę - jestem szczęśliwy, że kreuję rolę "Śmiesznego staruszka", ale - nie zadowolony.

W okresie panowania "stanisławszczyzny" obowiązywała pieklnie dokładna analiza postaci, przewidywanie każdej reakcji. Były to założenia tego niezmiernie śmiałego okresu, kiedy mniemano, że wiedzę o człowieku można zdobyć do końca.

Różewicz jest filozofem współczesnym; wybiera tylko niektóre fakty i myśli z życia swego "bohatera".

Jest to pewnego rodzaju demonstrowanie w teatrze niewiedzy o człowieku, niewiedzy, jaką kształtuje coraz większa trudność porozumiewania się między ludźmi. Zadaniem aktora jest przekazać tę najokrutniejszą prawdę - ciemność.

Zagadnienie wierności autorowi jest dla mnie sprawą pierwszoplanową. Zawsze zakładam sobie, że muszę przynajmniej w 60 % przekazać intencje autora. W przypadku "Śmiesznego staruszka" posłużę się może słowami Tadeusza Różewicza, który stwierdził, że jest to pierwsza prawidłowa realizacja jego teatru.

Rozmawiała: Maria Wójcicka

P.S. Myślę, że nie muszę zachęcać PT Czytelników do obejrzenia tego znakomitego przedstawienia, w którym tytułową postać kreuje Wojciech Siemion, gdyż -sądząc po olbrzymiej frekwencji, jaką się cieszy - jest to zupełnie zbędne.

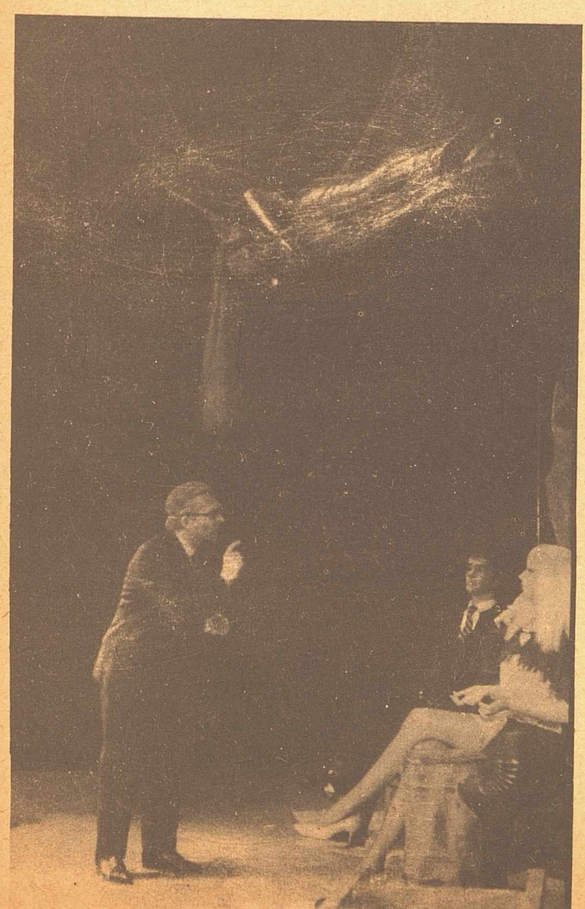

"Śmieszny staruszek" na scenie kameralnej Teatru Polskiego

Najważniejszą sprawą dla studenta jest mieszkanie. Jeżeli ma własne łóżko i przypadające na niego metry kwadratowe powierzchni - wszystko jest w porządku. Pusty żołądek można zaspokoić zupą stołówkową z chlebem i kompotem. Jeżeli więc student nie otrzyma bonu stołówkowego - jakoś się wyżywi, natomiast znacznie gorzej jest, jeżeli nie otrzyma mieszkania w DS.

W bieżącym roku akademickim wyszło zarządzenie, że osoba, na którą przypada nawet niewielka suma powyżej 700 zł miesięcznie, nie otrzymuje stypendium w postaci mieszkania. Dawniejsze pełnopłatne, tj. za 120 zł miesięcznie locum w DS zlikwidowano.

Bardzo dużo osób, szczególnie z Wydziału Architektury, które do tej pory mieszkały w domu studenckim, po przyjeździe z wakacji dowiadywało się, że nie mogą dalej tam mieszkać. Nawet najuprzejmieszemu dziekanatowi nie wpadło do głowy uprzedzić wcześniej studentów o tym fakcie. Postawiono ich przed problemem natychmiastowego znalezienia sobie mieszkania.

Nowych domów akademickich jest coraz więcej. Wydawałoby się zatem, że studenci wyższych lat, do tej pory mieszkający w pokojach i 6-osobowych, będą mieli wreszcie lepsze warunki bytowe. Tymczasem w większości właśnie studentom lat wyższych odebrano miejsca w akademikach. Czyżby władze Uczelni wychodziły z założenia, że student starszy jakoś da sobie radę i nie ma sensu nim się dłużej zajmować? Bo czy nawet posiadając owe 750 zł miesięcznie jest w stanie wynająć sobie pokój? Pomijając już kwestię szybkiego znalezienia pokoju, co obecnie we Wrocławiu jest prawie niemożliwe.

Obecna cena pokoju 2-osobowego wynosi 800-700 zł miesięcznie. Ceny ustalone przez ZSP są fikcją i wszyscy o tym dobrze wiedzą - władze Uczelni chyba także. Stąd wywodzi się problem tak popularnego "waletowania", gorliwie tępionego przez władze akademików, a także gorszego przygotowywania się do zajęć. Czy więc słusznym jest zlikwidowanie miejsc pełnopłatnych w domach akademickich?

JADWIGA WYSŁOUCH

PRZEBŁYSKI

Pan X poskrobał się po miejscu, gdzie inni mają głowę.

....

Pan X i pani Y są sobą już tak znudzeni, że wyczyniają przyzwoite rzeczy.

....

Skrupulatny pan X ma do załatwienia sprawy na jedną chwileczkę, na dwie chwileczki i różne ilości chwileczek.

....

"To bardzo podejrzana blondynka" - powiedział pan X, podglądając panią Y.

....

Kłamstwa pani X mają jej krótkie nogi.

....

Podobno pan X rzucił już żonę pana Y.

....

Państwo X, Y i Z stanowią przykładny bezzwiązek.

....

Pani X nie jest kobietą moich snów, jest najwyżej kobietą moich drzemek.

....

Historie miłosne pana X wypełniają karty chorobowe psychiatrów.

....

Ktokolwiek wiedziałby coś o panu X, proszony jest o nieopowiadanie mi tych skandali.

....

Wciąż jeszcze sądziłem, że pani X nosi zbyt ryzykowne mini spódniczki, kiedy okazało się, że jest już zupełnie bez niczego.

HENRYK JAGODZIŃSKI

XVIII KONFERENCJA PRZEDKONGRESOWA ZSP

14 grudnia odbyła się XVIII Konferencja Przedkongresowa ZSP Politechniki Wrocławskiej. Celem konferencji było podsumowanie dyskusji toczącej się w naszej Uczelni przed Kongresem ZSP oraz wybór delegatów na Kongres. Z wybranych na konferencję 141 delegatów na sali było początkowo 106, podczas głosowania - 116.

Gośćmi konferencji byli: prorektor Politechniki Wrocławskiej, doc.dr Tadeusz Porębski, zastępca kierownika Wydziału Nauki KW PZPR, Eugeniusz Adamczak, sekretarze KU PZPR, mgr Jerzy Girulski i dr Władysław Tomczak, wiceprzewodniczący Rady Naczelnej ZSP, Stanisław Ciosek, przewodniczący Rady Okręgowej ZSP, Paweł Chocholak, przewodniczący Zarządu Uczelnianego SNS, doc.dr Mieczysław Napierała, dyrektor administracyjny Politechniki Wrocławskiej, mgr Weronika Dulska, przewodniczący Zarządu Uczelnianego ZMS, Sławomir Krystek, przewodniczący Zarządu Uczelnianego AZS, Wojciech Wyczołkowski, kierownik Zespołu Domów Studenckich, Ludomir Sonnenberg.

Konferencji przewodniczył przewodniczący Rady Uczelnianej ZSP, Ludwik Bukowski, wspomagany przez wiceprzewodniczącego RU, Zbigniewa Karpuka i kierownika Komisji Propagandy i Informacji RU, Kazimierza Czechowicza.

Będący podstawą dyskusji referat odczytał Ludwik Bukowski. W kilkugodzinnej dyskusji wzięło udział 24 mówców.

Miłym akcentem było pożegnanie kończących pracę w ZSP działaczy: Maryli Sarnik, Piotra Saternusa, Włodzimierza Fedkiwa, Józefa Grygorcewicza, Andrzeja Leparskiego, Kazimierza Wasika, Michała Woronieckiego.

Dowodem patriotyzmu i wrażliwości młodego studiującego pokolenia było podjęcie uchwały o przejęciu patronatu nad Pomnikiem Walki i Męczeństwa - byłym obozem zagłady Gross-Rosen w Rogoźnicy.

(mgr)

WYBORY W AZS

25 października na przystani w sali AZS-u odbyło się walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-wyborcze klubów uczelnianych. Na zebranie jako gości honorowych zaproszono przedstawicieli władz Uczelni, organizacji młodzieżowych oraz Prezydium Zarządu Głównego AZS-u. Zebranie prowadził ustępujący prezes klubu, kol. A.Dudek.

Po części sprawozdawczo-wyborczej Zgromadzenia członkowie klubu i zaproszeni goście spędzili miły wieczór tańcząc przy muzyce zespołu "Olimp" z WSWF-u.

KRYSTYNA KLABIŃSKA

PODSUMOWANIE AKCJI OHP, ZMS, ZSP

Dnia 13.11.68 r. odbyło się spotkanie podsumowujące akcję OHP, ZMS i ZSP. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele władz Uczelni oraz organizacji młodzieżowych Szkoły i środowiska. Przybyli również przedstawiciele Zjednoczenia PGR oraz Zjednoczenia Budownictwa Rolniczego. Było też wielu uczestników i komendantów Hufców Pracy.

Sprawozdanie z akcji OHP zawierało akcenty bardzo optymistyczne. W całej akcji letniej OHP wzięło udział 620 studentów, co dało naszemu środowisku pierwsze miejsce w kraju. Na pewno wiele przyczyniła się do tego sukcesu współpraca uczelnianych organizacji ZMS i ZSP. W trakcie dyskusji, jaka się nawiązała, poruszono szereg istotnych problemów, których rozwiązanie w przyszłości usprawni zapewne przebieg przyszłych akcji. Przedstawiciele przedsiębiorstw, na których terenie były organizowane hufce, mogli również zanotować szereg uwag i wniosków; udzielali także wyjaśnień w kwestiach, jakie nasunęły się w czasie letniej współpracy.

Do najczęściej spotykanych zarzutów kierowanych pod adresem przedsiębiorstw należały: zbyt małe zainteresowanie kierownictwa warunkami zakwaterowania i wyżywienia uczestników oraz częste mankamenty w zabezpieczeniu należytego frontu robót. Na podstawie wypowiedzi kierownictwa obu zjednoczeń można mieć nadzieję, że te niedoskonałości zostaną w przyszłości usunięte.

Jednym z istotnych problemów był sposób podejścia uczestników do podjętej pracy. Zdarzały się przypadki wręcz niepoważnego traktowania przez studentów zawartych umów o pracę. Na uwagę zasługują również przypadki niesolidnego podejścia do samej pracy. Najczęstszym powodem tego był fakt, że udział w OHP traktowano jedynie jako sposób na uzyskanie potrzebnego zaświadczenia. Warto się nad tym zastanowić, zwłaszcza że uchwała V Zjazdu PZPR przewiduje wprowadzenie obowiązku pracy fizycznej dla studentów pierwszych lat studiów.

Spotkanie zakończyło się miłą uroczystością wręczenia odznaczeń i nagród dla wyróżniających się organizatorów i uczestników. Odznaki X-lecia OHP otrzymali kol.kol. Czechowicz i Powidło, a odznaki Czynu zjazdowego Ojczyźnie i Partii przyznane przez Radę Naczelną ZSP - kol.kol. Józefczak, Leśniak i Długosz.

JAGA

MAŁA RZECZ A GNEBI...

Studenci mieszkający w DS-ach przy Placu Grunwaldzkim a mający zajęcia w Gmachu Głównym czy w Gmachu Elektroniki i wszyscy, którzy idą na obiad do stołówki w "T-2" ulicą Norwida, przechodzą jezdnię w niedozwolonym miejscu. O parę metrów dalej jest, co prawda, specjalne przejście przez szyny tramwajowe, ale byłaby to strata cennych minut, których nikt ze studentów, szczególnie w godzinach rannych, nie ma za wiele. Znacznie szybciej jest przecież sforsować szyny tramwajowe i przejść skrótem wydeptaną w trawniku ścieżką.

Studenci, którzy mają za sobą wiele lat studiów, pamiętają, jak to kiedyś przy wydeptywanym stale trawniku postawiono milicjanta. Mandaty nie pomogły. Posadzono krzewy; co się z nimi stało - historia milczy, ale krzewów nie ma. Od tego czasu i aż do dzisiejszego dnia co roku siany jest w tym miejscu trwanik. A może by tak zrezygnować z trawnika, a zdecydować się na położenie paru płytek chodnikowych? Czy nie byłby to przypadkiem mniejszy koszt niż coroczne sianie trawy?

Tramwaje przy "dzikim" przejściu mają dużą szybkość i - o dziwo - jeżdżą tam prawie bezszmerowo, a studentkom często lubi wpaść pod szyny obcas ... Zupełnie niepojęte zjawisko, że wypadków w tym miejscu nie było tak dużo. Tym niemniej zdarzały się; ostatnio w ubiegłym roku jedna z mieszkanek "Parawanowca" uległa tu wypadkowi. Czy nie warto byłoby zapobiec przyszłym wypadkom przez zrobienie pieszego przejścia przez szyny na wprost podcienia DS "Parawanowiec" przy "T-2"?

JADWIGA WYSŁOUCH

OBOZY NAUKOWO - BADAWCZE

W dniu 29 października 1968 r. w klubie "Znicz" odbyło się spotkanie, które miało na celu podsumowanie studenckich obozów naukowo-badawczych i naukowo-szkoleniowych.

Na spotkanie przybyli: prorektor Politechniki Wrocławskiej, prof.dr inż. Henryk Kuczyński, prof. Roman Sobolski - dyrektor Instytutu Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn, Michał Dubiec - przedstawiciel Zakładu Budowy Nadwozi w Kożuchowie, kierownictwo organizacji młodzieżowych ZMS i ZSP oraz pracownicy naukowi naszej Uczelni - opiekunowie obozów, komendanci obozów i ich uczestnicy.

Zebranie otworzył przewodniczący Zarządu Uczelnianego Stowarzyszenia Naukowego Studentów, doc.dr Mieczysław Napierała.

Po omówieniu tegorocznych obozów naukowo-badawczych rozpętała się konstruktywna dyskusja, której właściwy nurt nadał: "Projekt prac przygotowawczych akcji letnich studenckich obozów naukowo-badawczych i naukowo-szkoleniowych Politechniki Wrocławskiej w 1969 roku".

W toku dyskusji wysnuto wiele interesujących wniosków. Podkreślono fakt, że należy zwiększyć zainteresowanie instytutów akcją pomocy w organizowaniu obozów. Sama organizacja powinna odbywać się przy współpracy z odpowiednimi instytucjami Naczelnej Organizacji Technicznej. Akcja obozowa musi być kontynuowana przez szereg lat przy tych samych jednostkach gospodarczych, czy administracyjnych, aby zapewnić ciągłość współpracy. Za najodpowiedniejszy teren do lokalizacji obozów uznano województwo wrocławskie, ewentualnie - zielonogórskie, opolskie.

Same prace winny mieć charakter pomiarowy, empiryczny, statystyczny oraz inwentaryzacyjny.

Na zajęciach ze względu na ograniczony czas, studenci mają możność poznania klasycznych metod, np. projektowania. Natomiast zadaniem obozów naukowo-badawczych jest między innymi zbliżenie do współczesnych metod w danej dziedzinie nauki. Dalsze opracowanie tych prac winno przebiegać w ramach pracy kół naukowych.

Omówiono także wiele spraw natury czysto organizacyjnej.

Po zakończeniu dyskusji prorektor prof.dr inż. Henryk Kuczyński wręczył nagrody opiekunom obozów. Następnie przewodniczący ZU SNS doc.dr inż. Mieczysław Napierała oraz przewodniczący ZU ZMS, mgr Tadeusz Słonka wręczyli nagrody komendantom wyróżnionych obozów.

IRENEUSZ SIEJEK

NOWY SUKCES

Sukcesem zakończył się udział przedstawicieli naszej Uczelni na środowiskowych eliminacjach Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich.

Drugie miejsce w kategorii piosenki zdobył utwór T. Drozdy z muzyką H. Kłobucha "Zakompleksiona ballada".

W konkursie na piosenkarza drugie miejsce zajęła reprezentująca naszą Uczelnię Bożena Wrona za interpretację utworu "Wszystko proste było dla nas" z muzyką H. Kłobucha do słów T. Drozdy.

W imprezie uczestniczyło 24 piosenkarzy, przedstawicieli wszystkich uczelni Wrocławia. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, iż dwie z czterech przyznanych nagród przypadły w udziale Politechnice. W finałowych zmaganiach, które odbędą się w styczniu w Krakowie, Wrocław reprezentowany będzie przez 6 piosenkarzy, w tym także - dwójka z Politechniki.

Jury przewodniczył Andrzej Waligórski. Przyznał on T. Droździe nagrodę specjalną Studia 202 za teksty.

Finał odbędzie się w styczniu w Krakowie. Trzymamy kciuki!

JAGA

Wiele sal wykładowych i ćwiczeniowych w Uczelni jest niedostatecznie przygotowanych do zajęć wieczornych - skarżą się studenci Studium Wieczorowego. Drastycznym przykładem tego jest Sala 100 w gmachu Inżynierii Sanitarnej. Na 9 umieszczonych w sali żarówek palą się tylko trzy. Dotychczasowe interwencje składane przez prowadzących zajęcia nie odniosły skutku.

JAGA

W pewien grudniowy wieczór wszedłem do pustego już i ciemnego gmachu Politechniki. Ciche i chyba trochę ponure było to stare gmaszysko. Tylko jeżeli wejdzie się na drugie piętro można usłyszeć płynący skądś śpiew i muzykę. Trochę dziwnie i tajemniczo brzmiały w tej scenerii. Idę w stronę, z której dobiega głos. Jestem już w jednej z sal. Trafiłem na przerwę w próbie najmłodszego chyba zespołu studenckiego naszej Uczelni - ćwiczy tu Chór Kameralny Muzyki Dawnej. Kiedy na początku roku akademickiego pojawiły się plakaty zachęcające do spróbowania swych sił w takim chórze, słychać było wiele głosów powątpiewających w powodzenie inicjatywy.

Dziś proszę kierownika chóru o kilka słów na temat dotychczasowej pracy i planów na przyszłość.

Mówią: Wojtek Kordecki i jego "prawa ręka" - Jerzy Ferens.

— Nasz chór istnieje od półtora miesiąca. Postawiliśmy sobie za zadanie utworzenie zespołu mieszanego, mającego w repertuarze utwory muzyki polskiej Średniowiecza i Renesansu. Zespół powstawał w dość swoisty sposób; na pierwsze propozycje zgłosiło się zaledwie parę osób. Po kilku próbach przyprowadziły ze sobą kolegów, którzy zainteresowali się śpiewem w takim właśnie kameralnym zespole. I stało się właściwie regułą, że każdy już u nas zostaje. Tak zebrało się około 20 entuzjastów.

Zdążyliśmy już opracować parę utworów: "Breve Regnum" - XV-wieczą pieśń studencką, "Psalmy" Mikołaja Gomółki i "Lament nad grobem Barbary Radziwiłłówny". Niedługo rozpoczniemy pracę nad przeglądem mało znanych kolęd staropolskich. Przygotowania zakończą się chyba w lutym i wtedy będziemy mogli wystąpić przed szerszym audytorium.

Praca idzie nam bardzo sprawnie; wszyscy znają nuty, co bardzo ułatwia wzajemne porozumienie w kwestiach muzycznych.

— Stroną artystyczną zajmuję się sam - mówi Wojtek Kordecki. Czasem radą służy mi całkiem prywatnie prof. Kajdasz. Dużo też zawdzięczamy też Komisji Kultury RU ZSP, która pomogła nam załatwić wiele spraw organizacyjnych.

Godzina już późna, nie chcę dłużej przeszkadzać w próbie. Jeszcze kilka minut słucham, jak śpiewają. Wrażenie było jedyne w swoim rodzaju. Czas cofnął się w tym momencie o kilka stuleci. Potrafi to sprawić ta rozśpiewana grupa studenckiej braci, która swój entuzjazm poświęciła trudnej ale pięknej sztuce.

Żegnamy się już. Jeszcze tylko chciałbym z całego serca życzyć temu ambitnemu zespołowi powodzenia w realizacji naprawdę ciekawych planów. Na pewno za parę miesięcy będziemy mogli się przekonać sami, jakie efekty przyniesie ich praca.

Wit

W obchodach 50-lecia Komsomołu na Politechnice Kijowskiej uczestniczyli przedstawiciele RU ZSP kol. kol. Marian Król oraz Henryk Brzozowski. Podczas centralnej uroczystości wręczono ufundowany przez Radę Uczelnianą puchar. Delegaci mieli okazję spotkać się z polskimi studentami odbywającymi studia w uczelniach kijowskich. Na zakończenie podpisano umowę o wymianie hufców pracy. Omawiane też były możliwości wymiany kulturalnej z uczelniami Kijowa.

JAGA

PERSONALIA

NOWE WŁADZE RZ ZNP POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

W dniu 20 grudnia 1968 roku odbyła się Konferencja Sprawozdawczo - Wyborcza Zakładowej Organizacji Związkowej ZNP Politechniki Wrocławskiej, na której dokonano wyboru nowych władz związkowych. Spośród wybranych członków Rady Zakładowej wyłoniono prezydium w następującym składzie:

Prezes	-	Eugeniusz Wnuczak
wiceprezes	-	Karol Błahut
wiceprezes	-	Antoni Piątkowski
wiceprezes	-	Ludwik Żebrowski
sekretarz	-	Jan Kubica
członek prezydium	-	Stanisław Jeżewski
członek prezydium	-	Rudolf Weiner

Na XXVII sesji Zgromadzenia Ogólnego Polskiej Akademii Nauk /17.XII.1968 r./ jednym z czterech wiceprezesów Akademii wybrany został profesor dr Włodzimierz Trzebiatowski, organizator i były kierownik Katedry Chemii Nieorganicznej I a następnie Instytutu Chemii Nieorganicznej i Metalurgii Pierwiastków Rzadkich Politechniki Wrocławskiej.

Zespół "SIGMY" składa serdeczne gratulacje -

W dniu 15.XII.1968 r. doc.dr Bogusław Kędzia został powołany na stanowisko dyrektora Instytutu Chemii Nieorganicznej i Metalurgii Pierwiastków Rzadkich Politechniki Wrocławskiej.

Serdecznie gratulujemy - ZESPÓŁ "SIGMY"

PRZEPRASZAMY mjr Bogdana Biernackiego za zniekształcenie nazwiska w VI numerze "SIGMY".

REDAKCJA

BAKTERIE CONTRA FENOL

fot.R.Makowski

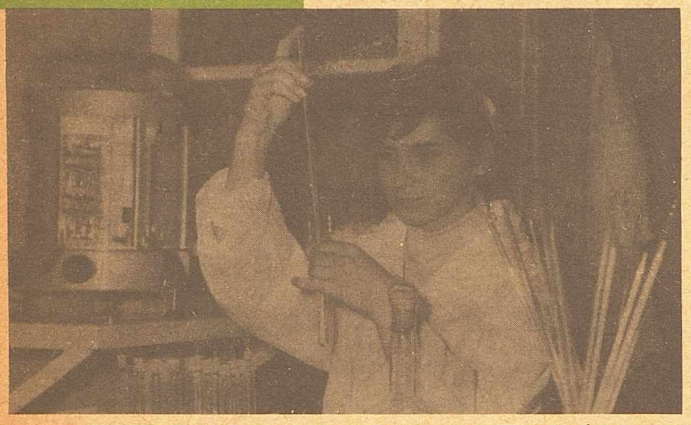

W zagadnieniach z zakresu gospodarki wodno-ściekowej zwraca wyjątkową uwagę sprawa oczyszczania i odprowadzania do wód powierzchniowych ścieków przemysłowych z zawartością związków toksycznych.

Zagadnienie to wymaga specjalnej troski dlatego, że przekroczenie pewnych określonych stężeń tych związków powoduje często milionowe straty w gospodarce narodowej.

Pierwsze skutki związków toksycznych można zauważyć już w oczyszczalni ścieków. Sprawność urządzeń do biologicznego oczyszczania gwałtownie spada na skutek zatrucia mikroorganizmów występujących w osadzie czynnym lub błonie biologicznej.

Niewłaściwie oczyszczone ścieki trafiając do rzeki prowadzą dalej swoje "dzieło zniszczenia". Tutaj z kolei, zatruciu ulegają drobne, niewidoczne gołym okiem, mikroorganizmy wodne, których rola jest bardzo istotna i polega na mineralizowaniu materii organicznej, co ogólnie nazywamy procesem samooczyszczania. W wypadkach drastycznych, gdy zabiciu ulegają wszystkie organizmy wodne, samooczyszczanie nie zachodzi a rzeka zmienia się w kanał ściekowy.

Takie wypadki są u nas powodowane najczęściej przez ścieki fenolowe. Konsekwencje zatrucia wód powierzchniowych fenolem i jego pochodnymi sięgają jednakże jeszcze dalej. Fenol bowiem, jako związek dobrze rozpuszczalny w wodzie, infiltruje wraz z nią w głąb gleby, do wód gruntowych a nawet do studni, jeżeli są one oczywiście usytuowane w pobliżu zanieczyszczonego zbiornika. W wodzie pitnej zaś, wystarczą niewielkie ilości - rzędu dziesiętnych a nawet setnych części miligrama - aby popsuć całkowicie smak i zapach wody, szczególnie, gdy jest ona poddawana zabiegowi dezynfekcyjnemu - chlorowaniu.

Można by ostatecznie jednak pominąć wartości smakowe i zapachowe, gdyby nie szkodliwe działanie fenolu również na organizm ludzki.

Dość znaczna tolerancja organizmu ludzkiego nie jest powodem, aby sprawę tę lekceważyć, ponieważ zależy ona absolutnie od cech indywidualnych i wieku osobnika. Według Farmakopei Polskiej można wprowadzić do organizmu 0,3 g na dobę. Są jednak osoby, które już przy wprowadzeniu kilku miligramów na dobę odczuwają nudności i skarżą się na złe samopoczucie. Również dawka śmiertelna waha się w znacznych granicach. Znane są wypadki zgonu po przyjęciu jednorazowym 1,0 g fenolu podczas gdy w innych wypadkach śmierć nastąpiła po spożyciu aż 60 g.

Oczywiście, że tak wysokich ilości nie spotyka się w wodach pitnych, niemniej jednak należy zaznaczyć, że wiele badań wskazuje na rakotwórcze działanie fenolu, jeżeli dostaje się on systematycznie do organizmu w ciągu długiego okresu czasu.

W sumie więc można stwierdzić, że fenol - i jego pochodne - jest na pewno szkodliwy a przy określonych dawkach silnie trujący dla wszystkich organizmów. Istnieje więc uzasadniona konieczność poszukiwania nowych dróg usuwania fenolu z wody i ścieków, oraz doskonalenia istniejących metod stosowanych do tego celu.

W trakcie różnorodnych badań zwrócono uwagę na dużą odporność najmniejszych drobnoustrojów - bakterii, które znosiły zawsze znacznie większe dawki niż organizmy wyższe. I tak stwierdzono, że np. dopiero roztwór o stężeniu 5 g/l niszczy bakterie, podczas gdy ryby giną już przy stężeniach wynoszących średnio 10 mg/l. Okoliczność ta dostarczyła sugestii do prowadzenia badań nad możliwością "przyzwyczajenia" bakterii do przebywania w obecności znacznych stężeń fenolu. Prace zostały uwieńczone sukcesem, ponieważ okazało się, że bakterie mogą nie tylko żyć w obecności pewnych dawek fenolu ale, że dawki te można stopniowo zwiększać i że bakterie po pewnym czasie zużywają fenol jako źródło węgla i energii.

Prace takie podjęto przed kilku laty również w Zakładzie Biologii Sanitarnej Instytutu Inżynierii Sanitarnej i Wodnej Politechniki Wrocławskiej.

W wyniku prowadzonych doświadczeń stwierdzono, że proces ten polega na rozbiciu pierścienia aromatycznego fenolu przy pomocy specjalnych enzymów produkowanych przez bakterie, a następnie utlenieniu do CO_2 i H_2O. Z wielu różnych gatunków wyizolowano najbardziej aktywne, do których należy bakteria Pseudomonas fluorescens występująca niemal we wszystkich rodzajach wód powierzchniowych. Jednakże trzeba stwierdzić, że wszystkie użyte do tego celu bakterie wodne udało się adaptować do utleniania fenolu, tylko czas potrzebny do tego był różnie długi.

Interesujące również okazały się badania nad wpływem różnych czynników fizyko-chemicznych na szybkość biochemicznego utleniania fenolu. Okazało się na przykład, że dodatek glukozy - jako łatwo przyswajalnego cukru - hamuje szybkość rozkładu fenolu przez bakterie i że pobierają one najpierw glukozę, a dopiero po jej całkowitym wyczerpaniu zaczynają utleniać fenol. Odwrotnie natomiast działają pewne aminokwasy i mocznik, które znacznie proces ten przyśpieszają. W podobny sposób przebadano szereg innych czynników a mianowicie: wpływ temperatury, stopień natlenienia, zawartość soli mineralnych, wpływ warunków głodowych, wieku i faz rozwojowych drobnoustrojów i innych.

Biologiczne oczyszczanie ścieków fenolowych znalazło już dawno zastosowanie w praktyce, jednakże uzyskane przez nas wyniki wskazują, jak bardzo złożone a jednocześnie żmudne i długotrwałe są badania nad tymi zagadnieniami. Najbliższa przyszłość pokaże, które z nich zostały rozwiązane już na tyle, aby nadawały się do praktycznego wdrożenia.

doc.dr MARIA PAWLACZYK-SZPILOWA

WSZYSTKO O "ROBOCIE"

CO WIEM O ROBOCIE - taki tytuł nosił konkurs zorganizowany przez Radę Wydziałową ZSP Wydziału Elektrycznego, pod patronatem Studenckiej Spółdzielni Pracy "ROBOT". Spółdzielnia obchodzić będzie w 1969 r. X-lecie działalności. Aby rozpropagować jej usługi, urządzono konkurs. Na zwycięzców czekało 6 cennych nagród o łącznej wartości 5000 zł. Urozmaiceniem imprezy był występ laureatów eliminacji środowiskowych na Festiwal Piosenki i Piosenkarzy Studenckich - Bożeny Wrona i Tadeusza Drozdy.

W sumie impreza była bardzo udana; gratulacje należą się organizatorom za jej sprawny przebieg. Szkoda tylko, że nieliczne grono wzięło udział.

Przy okazji chciałoby się przekazać kilka zasłyszanych informacji szerszemu gronu czytelników.

Spółdzielnia przeżywa obecnie gwałtowny rozwój; jej przerób w ostatnim roku obliczono na 16 mln zł, pracowało 4000 wykonawców, w tym najwięcej z Politechniki. Przy takiej ilości wykonawców tylko około 300 osób jest członkami spółdzielni, praktycznie decydującymi o jej losach. 5% przerobu przekazuje się na fundusz socjalny spółdzielni; pod mianem tym kryją się olbrzymie możliwości wykorzystania tej sumy przez wykonawców i członków: od dofinansowania wycieczek krajowych i zagranicznych, poprzez płatne w wysokości 10% wartości bilety na imprezy kulturalne, aż do zasiłków bezzwrotnych, czy zakładania premiowanych książeczek mieszkaniowych.

Równocześnie należy nadmienić, że bardzo źle układa się współpraca Rady Okręgowej ZSP z "ROBOTEM"; trudno wyłowić tu przyczyny, ale należałoby zwrócić uwagę na obopólną korzyść, płynącą z dobrej współpracy obu instytucji.

Możliwości przerobowe spółdzielni są dwukrotnie większe od obecnych, mimo to władze centralne nie biorą pod uwagę szczególnej specyfiki spółdzielni studenckiej i ograniczają jej działalność, a przecież tyle się mówi o wychowaniu przez pracę.

W jubileuszowym roku działalności życzymy "ROBOTOWI", aby pozbył się dotychczasowych kłopotów i zyskał sympatię szerszego grona studentów.

BARBARA LIP

...KONGRESOWE WSPOMINKI...

W lutym br. zbierze się w Warszawie Kongres ZSP. Jest to okazja do spojrzenia na historię Zrzeszenia - od tej właśnie "kongresowej" strony. Objęło ono działalnością 19 ostatnich pokoleń studenckich.

W marcu 1950 roku Rada Naczelna Federacji Polskich Organizacji Studenckich zatwierdziła projekt Statutu ZSP. Od tej chwili są czynione przygotowania do powstania organizacji we Wszystkich uczelniach kraju. W naszej Uczelni utworzony zostaje Komitet Uczelniany ZSP, kierowany przez Zenona Gregorewskiego. W kwietniu tego roku odbywa się pierwszy Kongres. Od tej chwili następuje dynamiczny rozwój Zrzeszenia. W maju 1951 roku organizacja uczelniana liczy 2,5 tys. członków.

Nowy Statut oraz zasadnicze kierunki działania w następnych latach są głównym tematem obradującego w grudniu 1957 roku - II Krajowego Zjazdu ZSP. Pięcioosobowa delegacja Politechniki Wrocławskiej wniosła wiele poprawek do Statutu.

Rok 1960. Rok jubileuszu X-lecia Zrzeszenia. W obradach Kongresu biorą udział przedstawiciele partii i rządu. Przewodniczący Rady Państwa, Aleksander Zawadzki przyjmuje w Belwederze 100-osobową grupę delegatów; 18 osób zostaje udekorowanych odznaczeniami państwowymi. W skład wybranej Rady Naczelnej wchodzą dwaj przedstawiciele Politechniki Wrocławskiej.

V Kongres zbiera się w 1963 roku. Obraduje on pod hasłem "Zdobywamy wiedzę i kwalifikacje - kraj potrzebuje dobrych fachowców". Uwaga delegatów.koncentruje się wokół programu studiów, praktyk studenckich oraz poprawy warunków materialnych studiującej młodzieży.

opr. JAGA

HENRYK WORCELL - PISARZ AUTENTYCZNY

Najróżniejsze inspiracje mogą stanowić punkt wyjścia dla literackich dokonań. Mogą to być zarówno przemyślenia z przeczytanych lektur, swoiste koncepcje kreacyjne, obsesje i urojenia, a także - co w przypadku prozy Henryka Worcella najistotniejsze - obserwacje,doznania i autentyczne przeżycia. Samo życie ukształtowało zarówno postacie tych książek, sytuacje - życie stawiało problemy, dostarczało konfliktów.

Już pierwsza powieść, którą Worcell debiutował w 1936 r. wzbudziła zarówno zainteresowanie krytyki jak i czytelnika; spowodowała polemiki, nawet nagonkę sportretowanego środowiska przeciwko autorowi. "Zaklęte rewiry" wytyczyły drogę, której pisarz został wierny w dalszej swojej literackiej działalności. Koncepcja prozy autentycznej, wyraźnie osadzonej w czasie i w realiach, narzuciła Worcellowi dwutorowość literackich formalizacji - od reportażu do prozy artystycznej.Mechanizm przekształcania się materiału reportażowego w literaturę łatwo prześledzić, jeśli na przykład porównać wydany w roku 1955 zbiór reportaży "Zimowy zasiew" z utworem z pogranicza prozy artystycznej i reportażu "Widzę stąd Sudety" a "Parafianami", które otrzymały swój ostateczny, literacki kształt.

Pisarz nie poprzestaje na powierzchownej obserwacji rzeczywistości; zgromadzony materiał zostaje w jego wyobraźni od nowa zweryfikowany, wzbogacony przemyśleniami i uformowany literacko. Dlatego właśnie nie przy biurku w zacisznym gabinecie powstają książki Worcella. Nie dziwią też w życiorysie autora "Parafian" fakty nieczęste w biografiach pisarzy: "w latach 1925-1937 pracował jako kelner (...) po wyzwoleniu zamieszkał w 1945 r. we wsi Skrzynka, pracując na roli (...) w 1951 r. przenosi się do Trzebieszowa i pracuje kolejno jako robotnik, bufetowy, bibliotekarz ...".Utwory zrodziła konkretna i wymierna praca - trud w sensie czysto fizycznym jak i rzetelny wysiłek umysłu.

O wysokiej randze artystycznej utworów Henryka Worcella świadczą zarówno liczne publikacje i recenzje z ukazujących się kolejno pozycji książkowych, jak i przychylny odbiór czytelniczy (trzy wydania "Zaklętych rewirów", po dwa wydania "Parafian" i "Najtrudniejszego języka świata"). Tę rangę potwierdzają też przyznane mu nagrody: w roku 1957 otrzymał Henryk Worcell Nagrodę Literacką Wrocławia, został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi; w roku 1965 otrzymał Nagrodę Miesięcznika "Odra" za "Najtrudniejszy język świata", a w roku 1967 - Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki II stopnia.

Henryk Worcell już od kilku lat mieszka we Wrocławiu.Żywo interesuje się rozwojem miasta, jego wciąż rosnącym znaczeniem w życiu gospodarczym i kulturalnym kraju. Nie zerwał jednak więzów ze wsią - częste wyjazdy do środowisk wiejskich dostarczyły pisarzowi autentycznego materiału,który posłużył mu do napisania cyklu opowiadań-reportaży "Spotkania pod lipą", publikowanych w czasopismach.

Podczas rozmowy Henryk Worcell poinformował mnie o swoich zamiarach twórczych i wydawniczych. Aktualnie pracuje nad powieścią pisaną w formie pamiętnika, w której zamierza zsumować obserwacje i przeżycia "wrocławskie". W powieści tej pisarz chce ukazać całą grozę współczesnej cywilizacji z jej zurbanizowanym społeczeństwem.

W najbliższych miesiącach ukażą się "Wieczory pod lipą" w formie książkowej, a na opublikowanie czeka gotowa już powieść pt. "Ja, mój mąż i inni". Powieść ta napisana jest w formie pamiętnika świetliczanki.

Autor "Zaklętych rewirów" ponadto kompletuje materiały do tomu wspomnień z okresu zakopiańskiego (lata 1937-1939), w którym w zbeletryzowanej formie pragnie zrelacjonować swoje osobiste kontakty z Witkacym, Konińskim, Kasprowiczową i innymi.

Henryk Worcell został w bieżącym roku wybrany prezesem Wrocławskiego Oddziału ZLP i co szczególnie cenne jest dla młodego środowiska literackiego Wrocławia - żywo interesuje się działalnością Klubu Dyskusyjnego Młodych Pisarzy przy ZLP. Osobiście uczestniczył w zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Klubu i to nie w charakterze funkcjonalnym. Prezes uważa, że praca Klubu powinna pójść bardziej w kierunku pogłębienia dyskusji o stronę filozoficzną, natomiast mniej w kierunku dyskusji czysto warsztatowo-formalnych. W rozmowie ze mną wysunął również zagadnienia strony etyczno-moralnej młodych pisarzy; twierdzi, że nie do pogodzenia jest działalność literacka bez odpowiedniej postawy zgodnej z etyką twórcy.

Autor "Najtrudniejszego języka swiata" należy bowiem do tych nielicznych pisarzy, którzy poza własną twórczością artystyczną biorą żywy udział w życiu społecznym i kulturalnym, których utwory nie powstają w próżni społecznej,w oderwaniu od życia rozumianego w najpełniejszym kształcie.

Bibliografia dotychczas opublikowanych prac Henryka Worcella:

1. Zaklęte rewiry, (powieść) Warszawa 1936; wyd.2, Warszawa 1939; wyd.3, Kraków 1957.
2. Zdarzenie w mroku, (opowiadania) Warszawa 1939.
3. Odwet, (powieść) - fragmenty publikowane w czasopismach i w prasie w latach 1947-1948.
4. Gorzkie ziarno,(dramat) - wspólnie z Haliną Naborowską, Warszawa 1953.
5. Zimowy zasiew, (reportaże) Warszawa 1955.
6. Wyspa starej Tekli, (powieść dla młodzieży) Warszawa 1956.
7. Widzę stąd Sudety, (opowiadania) Wrocław 1959.
8. Parafianie, (opowiadania) Wrocław 1960; wyd.2 rozszerzone, Katowice 1965.
9. Najtrudniejszy język świata, Katowice 1965.

Ponadto prozę i artykuły publikował między innymi w takich czasopismach jak: Kierunki, Kultura, Nowe Sygnały, Nowony Literackie, Odra, Sygnały, Twórczość, Tygodnik Kulturalny, Tygodnik Ilustrowany, Życie Literackie.

ERNEST DYCZEK

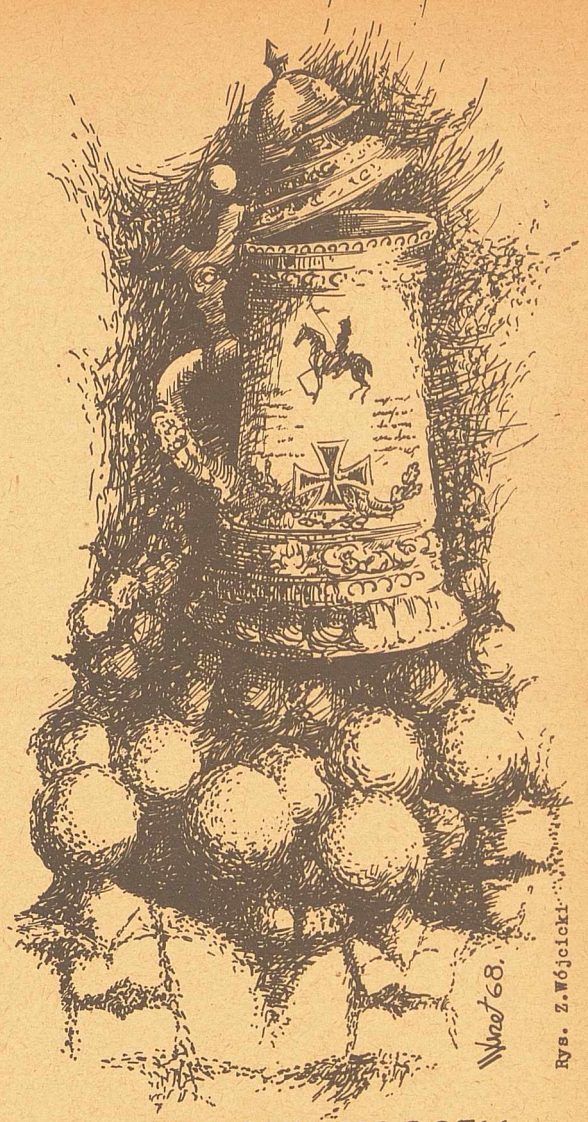

HENRYK WORCELL

Dwie starsze panie

Pan Witek ukazał nam swój profil i powiedział:
— Za pięć minut będziemy w N.
I wtedy zbudziło się licho.
— Bardzo bym chciał wygrać zakład - powiedziałem do pani Albiny ściszonym głosem.
Ujęła mnie pod ramię, lekko przywarła do mnie i odpowiedziała szeptem:
— Ja też bardzo bym chciała, żeby t a t u ś wygrał ten zakład.
Spojrzałem jej w twarz i wcale mi nie było do żartów, bo nie uciekała swym wzrokiem, patrzyła mi w oczy. Trwało między nami milczenie i w pewnym momencie dłonie nasze się spotkały i splotły się w nagłym zrozumieniu, że od dawna na to czekaliśmy.
Niestety, niestety, w chwilę później przyszło nagłe opamiętanie. Boże! - omal nie chwyciłem się za głowę - a nuż to opowiadanie dojdzie do rąk męża Albinki? A co dyrekcja biblioteki opolskiej, zwłaszcza pani dyrektor Gąszczyńska? Co ona sobie o nas pomyśli? Zwłaszcza o mnie, bo co do pani Albiny, to gdy się poważnie zastanowię, nie jestem już pewny, czy ją spotkałem w Opolu. Może to było w Rzeszowie, w Zielonej Górze? I może to nie była pani Albina? Doprawdy, tyle miałem tych spotkań, tyle pań instruktorek towarzyszyło mi w samochodzie, że już nie pamiętam, co, gdzie i kiedy było.
Oto miasteczko N. Zupełnie małe miasteczko, rynek i kilka ulic wybiegających w pola - nawet nie wiem, czy jest tam jaka fabryczka, nie pytałem się, bo mnie to nie interesuje. Natomiast wiedziałem od pani Albiny, że sporo tu ludności autochtońskiej i podejrzewam, że dyrekcja biblioteki opolskiej celowo wysyłała mnie do tych środowisk łudząc się, że dostatecznie opanowałem "najtrudniejszy język świata".
W świetlicy bibliotecznej zastaliśmy ponad dwadzieścia osób, przeważnie kobiet. Żadnego bałaganu tu nie było. Publiczność siedziała na krzesłach ustawionych w rzędy, na oknach kremowe firanki i wazoniki z asparagusem, na ścianach portrety Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, pod oknem stół i krzesło dla mnie przygotowane - od razu zauważyłem brak popielniczki, stąd wniosek, że palić w świetlicy nie wolno.
Przywitała nas bibliotekarka, kobieta w średnim wieku, istota jakby bezpłciowa i nader skrzętna - od razu przypomniałem sobie, co mi mówiła pani Albina, mianowicie, że to jest rdzenna Opolanka i że jej ojciec brał udział w powstaniach. Jakoś mnie raził jej spoób bycia, może dlatego, że mnie jakby nie zauważała, zostawiała mnie na uboczu, natomiast dużo miała do czynienia z panią Albiną, omawiała z nią sprawy związane z konkursem "Człowiek, świat, polityka", pokazywała jej jakieś formularze, sprawozdania, z czego pani Albina zdawała się być zadowolona i całkowicie tymi papierami zajęta; zapomniała o mnie.
Błąkałem się między regałami, odczytywałem tytuły na grzbietach książek, wreszcie znalazłem stosowną chwilę, by powiedzieć coś miłego bibliotekarce.

— Widzę, że ładne książki tu macie.
— Ano, fajnego mamy introligatora - odpowiedziała i znów pochyliła się nad papierami rozłożonymi na biurku.
Ogarnęło mnie uczucie nudnej trzeźwości rozszerzające się na całą bibliotekę, na jej kierowniczkę, na publiczność czekającą w świetlicy - nieznośny stan, kiedy się widzi każdy materialny szczegół otoczenia, zaciek na ścianie, wystrzępiony grzbiet książki, drzwiczki żelaznego, zimnego piecyka. Co ja tu będę mówił? - zastanawiałem się. Bo nagle wydało mi się, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia, a to, co sobie w duchu przygotowałem, co mi się jeszcze w samochodzie wydawało przepojone żarem, tu nagle zbladło, straciło swoją ważkość. Za późno już obmyślać coś innego, przestawiać się psychicznie na inny tor. Zresztą, po co? Do diabła, nawet czarnej kawy nie podają! Nie chodzi mi o ciastka, którymi częstują panie w niektórych bibliotekach, przydałaby się nam kawa, która działa ożywczo, wyzwala ze stanu mdłej trzeźwości. Wzbierała we mnie głucha wściekłość.
— Proszę pań, może byśmy zaczęli!
— Już, już, proszę pana ...
Zaczęło się krzątanie, składanie papierów, zamykanie szuflad, przysuwanie krzeseł do biurka, oglądanie się, sprawdzanie, czy wszystko w porządku i pośpieszne dreptanie ku świetlicy - odniosłem wrażenie, że ona, ta bibliotekarka, czyni obrządki w oborze, zamyka kurnik, sprawdza kłódki i skoble. Do pani Albiny też czułem żal; ukarałem ją dotkliwie, bo przez dłuższą chwilę ani razu na nią nie spojrzałem.
Stanąłem za stołem i podczas gdy pani Albina przedstawiała mnie, przyjrzałem się dokładniej publiczności ... Paru młodzików, kilkanaście młodych kobiet i dziewcząt i kilka starszych pań. Brak mężczyzn. Słowa pani Albiny docierały do mnie piąte przez dziesiąte, dopiero ostatnie jej zdania zmusiły mnie do skupienia uwagi.
— Pana Worcella bardzo interesuje problematyka niemiecka, na pewno powie nam wiele ciekawych rzeczy i mam nadzieję, że wywiąże się dyskusja i padną pytania, na których - proszę mi wierzyć - mnie osobiście bardzo dziś zależy.

Szelmowsko łypnęła oczkami w moją stronę, potem usiadła na krześle pierwszego rzędu i założyła nogę na nogę - zdołałem jeszcze zauważyć, że spódniczka jej, szara, skromna spódniczka, bardzo dekoracyjnie ułożyła się wokół jej kolan. Równocześnie uświadomiłem sobie, że już zaczynam mówić, słyszałem własny głos i nie obawiałem się, że stracę wątek, bo mówiłem automatycznie to, co już nieraz wypowiadałem na swoich wieczorach, i w tych samych sekundach zdałem sobie sprawę, że mnie osobiście już mierzi to nieustanne powtarzanie się, ale zarazem wiedziałem, że dla publiczności stanowię interesujący obiekt, toteż powoli zacząłem się niejako przechylać na jej stronę i mnie samego zaczynało ciekawić to, co mówię, więc już miałem swoje audytorium i pani Albina ani mi tu nie przeszkadzała, ani nie pomagała. Raczej pomagała, bo wiedziałem, że patrzy na mnie i życzy mi powodzenia.
Mówiąc o mojej drodze pisarskiej i perypetiach życiowych, powoli dążyłem do spotkania z Niemcami w roku 1945 na Ziemiach Odzyskanych. Do tych miesięcy, kiedy razem z Niemcami żyliśmy na gospodarstwie rolnym, pod jednym dachem, często przy wspólnym stole. I dopiero dziś, w tej świetlicy, uświadomiłem sobie, że ten temat, spotkanie z Niemcami na Ziemiach Odzyskanych, z biegiem czasu, im dalej od roku 1945, im więcej przybywa nam historii, staje się coraz ciekawszy, wręcz sensacyjny.
— Proszę sobie uprzytomnić, że świadków tego spotkania mamy coraz mniej. Bo starzy ludzie już pomarli, inni przyszli na te ziemie wtedy, kiedy już Niemców tu nie było, a młodsi, liczący nawet ponad dwadzieścia lat, też nie mieli okazji, by się tym Niemcom przyjrzeć. Minie jeszcze jakiś czas i nasze spotkanie z Niemcami na Ziemiach Odzyskanych pozostanie historią. Historią zapisaną w dokumentach, w listach, w artykułach prasowych, w pamiętnikach i utworach literackich.
Wobec tutejszej publiczności musiałem uczynić pewne ustępstwo, wyraźnie zaznaczyć, że inaczej patrzyliśmy na Niemców my, mieszkańcy Generalnej Gubernii, a inaczej tutejsi Polacy. Bo tam, do nas, przybywały potwory, najgorszy aktyw hitlerowski. Z nimi mieliśmy całe lata do czynienia, oni w naszych oczach reprezentowali całe Niemcy. Toteż kiedy w roku 1945 zetknęliśmy się z Niemcami na Ziemiach Odzyskanych, z Niemcami nadzwyczaj potulnymi i usłużnymi, trudno nam było uwierzyć, że to są Niemcy, chociaż mówili po niemiecku. Zresz-

tą niewiele mówili, raczej milczeli, można by powiedzieć, że w czasie wojny i okupacji poznaliśmy ich krzyk, a w czasie ich spotkania na Ziemiach Odzyskanych poznaliśmy ich milczenie.

Niewielu znajduję ludzi, którzy by umieli opowiedzieć o swoich uczuciach w dniu, kiedy Niemcy odpływali na zachód, o tych przejmujących chwilach, kiedy właściwie nic się nie zmieniało na ziemi i na niebie, a jednak ta ziemia, to niebo w tym właśnie momencie stawały się Polską. Mnie też trudno wyrazić te uczucia, chociaż pamiętam ten moment, gdy moi Niemcy wyjeżdżali. Pamiętam, jak Paul chwycił za lejce i bat: "Wio, Lotti" - wóz zaterkotał po kamieniach i wyjechał za bramę. W tej doniosłej chwili uwaga moja skupiła się na małym i nieważkim przedmiocie: oto z tyłu wozu wisiała jakaś biała tasiemka, a koło za każdym obrotem dźwigało ją w górę i strącało w dół. I tak ciągle: w górę i w dół, w górę i w dół - automatyzm tego ruchu urzekał mnie. Wszystko inne, co się działo, więc wyjazd tej niemieckiej rodziny, żegnanie się starszej kobiety z moją żoną, wściekłość Paula i wreszcie ten zadziwiający fakt, że w tych oto minutach ten wielki dom wraz z dookolną ziemią przestaje być niemiecki, to wszystko na raz i zbyt gwałtownie cisnęło się do mojej świadomości, bym się mógł z tym uporać. Więc wpatrywałem się w białą tasiemkę, którą koło dźwigało w górę i strącało w dół, w górę i w dół ...

Ale to wspomnienie wtrącam tu nawiasowo, bo tam, w świetlicy, mówiłem o czym innym. O tym mianowicie, że zupełnie inaczej wyglądali Niemcy w oczach tutejszych Polaków. Przecież to byli porządni ludzie, sąsiedzi, z którymi się żyło od niepamiętnych lat, bardzo uczciwi w codziennym współżyciu, solidni, słowni. Więc jak można mówić o nich: potwory, zbrodniarze, zboczeńcy? Doprawdy, ja sam nie wiem, jak się to działo, że ci porządni ludzie jednak stawali się potworami. Zastanówmy się. Może jedna z przyczyn tego zjawiska - to nadmierna miłość własnego narodu?

Mówiłem tylko o Niemcach. Cały czas o Niemcach, tych co wyrośli z pruskiego pnia, o ich narodowym schorzeniu, niezdolności do otwarcia oczu i serc na szerszy świat, zamknięciu się w ciasno pojętym patriotyźmie, który się karmi nienawiścią do obcych, nienawiść zaś zabija dusze ludzkie, spycha nienawistników w nacjonalistyczne getto i zacieśnia ich kulturalny horyzont.

Na zakończenie przytoczyłem drastyczne głosy nienawiści, głosy znanych osobistości niemieckich, właśnie "patriotów" niemieckich. Przedtem jednak zastrzegłem, że gdyby ktoś odczytanie tych głosów ocenił jako chwyt demagogiczny, to go poproszę, by mi przytoczył równie "mocne" głosy Francuzów na przykład, Rosjan lub Włochów.

Hr. von Treitschke, rok 1897:

"Nadzieja usunięcia wojen ze świata jest nie tylko pozbawiona sensu, ale i głęboko niemoralna; jej urzeczywistnienie wypaczyłoby wiele podstawowych i wspaniałych popędów duszy ludzkiej, a kula ziemska przekształciłaby się w jedną wielką świątynię samolubstwa. Nadzieja starcia wojen z oblicza ziemi jest nie tylko bezsensowna, ale i głęboko niemoralna".

Gen. hr. von Häseler, rok 1893:

"Cywilizacja nasza musi wznieść swoje świątynie na górach z trupów, na morzu łez i na rzężeniu nieskończonej liczby konających".

"Grenzbote", rok 1896:

"Jeżeli dobro naszego kraju wymagać będzie podbojów, ujarzmienia, wywłaszczenia, zagłady innych narodów - uważamy, że nie powinny nas od tego odwieść żadne względy humanitarne czy chrześcijańskie".

Cesarz Wilhelm II, rok 1900, do żołnierzy wysyłanych przeciwko powstaniu bokserów w Chinach:

"Zemszczę się w sposób, jakiego historia świata nie znała. Rozkazuję wam nie cofać się przed niczym, nie brać jeńców i zabijać wroga. Naśladując Attylę i Hunów będziemy szerzyć taki terror we wschodniej Azji, że pamięć o nas nie zginie za tysiąc lat".

Otto Richter von Tannenberg w książce pt. "Gross Deutschland", rok 1911:

"Narody podbite w wojnie muszą stracić wszystko, mogą im zostać tylko oczy do płaczu. Skromność z naszej strony byłaby czystym szaleństwem".

Cesarz Wilhelm II do cesarza Franciszka Józefa, rok 1914:

"Trzeba wszystko puścić z dymem i utopić w morzu krwi. Trzeba poderżnąć gardła mężczyznom i kobietom, dzieciom i starcom. Trzeba zrównać z ziemią domy i lasy".

Oficer Joachim von Goltz, rok 1914:

"Lepiej aby sto kobiet i dzieci wroga pomarło z głodu, niż aby jeden niemiecki żołnierz cierpiał niedostatek".

Goering w roku 1933 wydał zarządzenie, by przy egzekucji topór kata padał nie na kark lecz na gardło ofiary:

"Nie trzeba skazańcowi czynić śmierci lżejszą - jego ostatnim wrażeniem winna być błyskawica karzącej stali".

Nauczyciel Zind, rok 1953:

"Dumny jestem z tego, że razem z moimi ludźmi zabiliśmy podczas wojny wiele setek żydów ciosem łopaty w głowę. Nie zawahałbym się zrobić tego jeszcze raz".

Eichmann:

"Zejdę do grobu z uśmiechem na ustach, gdyż świadomość, że mam na sumieniu pięć milionów Żydów, sprawia mi niezwykłe zadowolenie".

Skończyłem i dłuższą chwilę milczałem. Celowo milczałem i tylko skinieniem głowy podziękowałem pani Albinie za jej komentarz wypowiedziany półgłosem: "Rzeczywiście najtrudniejszy język świata". Dziewczęta patrzyły na mnie, ich twarze i oczy w swej bierności i oczekiwaniu podobne były do wielu innych, które widywałem daleko za Wrocławiem lub Rzeszowem - nie oczekiwałem od nich żadnych wystąpień, żadnych zapytań. Były tam też siedzące blisko siebie trzy lub cztery starsze panie niewiadomego zawodu, prawdopodobnie już emerytki, i one też chwilowo milczały, a pani Albina nie należała do tych instruktorek, które gorączkowo zwracają się do publiczności i zachęcają do zabierania głosu, zadawania pytań; poprawiła się na krześle, zmieniła ułożenie nóg, odniosłem wrażenie, że chce powiedzieć: "Mamy czas".

Wreszcie odezwała się jedna ze starszych pań. Mówiła miejscowym dialektem, ale bez rażących, pospolitych germanizmów, właściwych "waserpolakom". Nie umiałbym powtórzyć jej gwarowych niuansów, kryły się one w intonacji, w osobliwym wymawianiu samogłosek, wstawianiu "o" w miejsce, gdzie powinno być "a". O co jej chodziło? Ni mniej, ni więcej, tylko o to, że nie tylko Niemcy byli okrutni, czego najlepszym dowodem ma być fakt, że w obozach koncentracyjnych na terenie Rzeszy mniej zabijano, mniej torturowano więźniów niż w obozach na terenie Polski. Że tam, w Oświęcimiu, w Treblince, sami Polacy i Żydzi znęcali się nad więźniami, byli za bardzo gorliwi w gnębieniu ludzi.

Przypomniałem sobie, że jestem chrześcijaninem, przeżegnałem się w duchu: "Boże, daj mi cierpliwości", potem spojrzałem na panią Albinę, ale ani mi w głowie była myśl, że już zakład wygrałem.

— To znaczy - zwróciłem się ku starszej pani - chce pani jakby powiedzieć, że to nie hitlerowcy nas tępili, tylko my sami siebie? A wie pani, że to samo mówią starzy hitlerowcy w NRF?

— Ja tak nie powiedziałam. Ja tylko powiadam, że jak się u jednych widzi zło, to i u drugich trzeba widzieć. Bo jedni i drudzy źle robili.

Wtedy jedna z młodych kobiet siedzących po przeciwnej stronie świetlicy odezwała się stłumionym, mocno zirytowanym głosem:

— E, takie głupoty!

Nie głupstwa" lecz "głupoty" - tak się wyraziła i wstrząsnęła ramieniem jakby chciała się odwrócić czy odgrodzić tym jednym ramieniem od starej pani.

— Z tego, co pani mówi - podjąłem w odpowiedzi - można by pomyśleć, że Niemcy dali nam dobre warunki pracy, dobrze zorganizowany tryb życia w lagrach, a my siebie nawzajem wpychaliśmy w komory gazowe i krematoria. Tego to już nawet hitlerowcy w NRF nie mówią.

— Ja tak nie mówię - odpowiedziała ze starczą irytacją - Jak ma być sprawiedliwość, to trzeba wiedzieć, co robili po jednej i po drugiej stronie. Nigdzie tak na świecie nie ma, żeby po jednej stronie byli tylko źli, a po drugiej sami dobrzy. Polski albo żydowski kapo nie był lepszy od niemieckiego.

W tej chwili młoda kobieta znów wstrząsnęła ramieniem i powiedziała coś, czego nie mogłem dosłyszeć, a co wyraźnie wywołało odruchy solidarności u jej młodych sąsiadek. Byłem zakłopotany, zaskoczyło mnie to powiedzenie o polskich, żydowskich i niemieckich kapo. Bo była w tym jakaś cząstkowa prawda, której przeczyć niepodobna. Musiałem odczekać chwilkę, zanim sobie uprzytomniłem, że jest to prawda jakby nawiasowa, a istota rzeczy leży w czymś innym, a tymczasem wśród ogólnego ożywienia i fali rozmów pani Albina odezwała się z tłumioną irytacją w głosie:

— Ale trzeba zapytać, kto stworzył obozy i tych wszystkich kapo! Przecież nie Polacy ani Żydzi!

Właśnie! O to chodzi. Ja powinienem był pierwszy to powiedzieć, a nie pani Albina. Podniosłem dłoń, by uciszyć rozmowy, zażegnać niepokój wzniecony po lewej stronie świetlicy.

— Mówiła pani o kapo ... Ale zapomina pani o tych, którzy stworzyli warunki dla istnienia tych kapo. To przecież tak jakby pani oskarżała o popełnienie zbrodni rewolwer, a nie człowieka, który tym rewolwerem zabił. Nie to jest ważne czy ten rewolwer, to znaczy kapo, był pochodzenia polskiego czy niemieckiego, ważne jest, kto się tym rewolwerem posługiwał. Kto był organizatorem obozów śmierci, kto realizował plan zagłady całych narodów. Skwapliwie, ochoczo realizował. My, czy hitlerowcy?

To było oczywiste, że na tak postawione pytanie stara pani nie mogła odpowiedzieć: "My". Ale też nie kwapiła się, by powiedzieć: "Hitlerowcy".

— Tak, panie Henryku - z uśmiechem odezwała się pani Albina - będziemy już kończyć, bo wie pan, mamy kawał drogi.

Teraz dopiero ujrzałem siedzącą obok niej kierowniczkę biblioteki. Cały czas tam siedziała, a dopiero teraz ją zauważyłem, gdy się skrzętnie poderwała z krzesła, pewnie się szykowała do sprawdzenia kłódek i zamków swego bibliotekarskiego gospodarstwa. Nie miałem ochoty przedłużać wieczoru, chociaż mógłbym jeszcze wdać się w pogawędkę z tutejszymi kobietami, tymi młodszymi oczywiście, bo tamte stare, nawet ta pełna miłości bliźniego, jakoś mnie nie pociągały. Dobrze się stało, że pani Albina zdecydowanie ruszyła ku wyjściu, więc i ja za nią.

Ledwie wyszliśmy za drzwi, powiedziała do mnie:

— Mówił pan kiedyś, że Słowianie teraz waregizują Niemców. Mam wrażenie, że chciał pan zwaregizować te staruszki.

— Za późno. Waregizacji ulegają tylko młodzi.

Podeszła do stojącego w mroku samochodu i zaraz wróciła do mnie, i uniosła palec w górę.

— Niechże go pani nie budzi - odpowiedziałem szeptem - Ale jak to zrobić, żeby on całą drogę spał przy kierownicy?

Patrzyła na mnie bezradnie, widać też się zastanawiała: "Jak to zrobić? Jak?"

HENRYK WORCELL

SIGMA

MAGAZYN PROBLEMOWO-INFORMACYJNY POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ. Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres redakcji: Wrocław ul. Wybrzeże Wyspiańskiego 27, pok. 339, tel. 270-51 wewn. 240. Redaguje zespół w składzie: MARIAN FIJAŁKOWSKI /sekr.red./, JACEK GAJEWSKI /red.działu informacji/, JERZY GIRULSKI /red.działu publicystyki/, SŁAWOMIR HULANICKI /red.działu kultury/, BARBARA LIP /red.działu informacji/, FRANCISZEK ŁĘTOWSKI /red.działu publicystyki/, JERZY MAGER /red.działu publicystyki/, JAN OSIŃSKI /redaktor naczelny/, ANDRZEJ PEŁECH /red.działu publicystyki/, STANISŁAWA SZULC /red.działu informacji/, MARIA WÓJCICKA / sekretarz redakcji/. Opracowanie graficzne: Marian Fijałkowski przy współpracy Stefana Bajera, Bolesława Magi, Andrzeja Pawłowskiego, Antoniego Piekarza i Tadeusza Pluty. Druk: "INTRODRUK" - Wrocław ko/ 40166 R-2/29

Cena 2 zł

ULGOWE ŻYCIE

Dziwna radość wokół, cieszyć się wypada,
bo nikt nas w kraju jakoś nie okrada.
Każdy ceni w studencie rozum albo męstwo,
ulgowo nas traktuje całe społeczeństwo.
Wszyscy radzi by biedakom kieszeni uchylić,
byle tylko byli, tacy jacy byli.
W kinie ulgi, w teatrze, a nawet w operze,
podobno miejska pralnia ulgowo już pierze,
ulgowe też odbywasz krajowe podróże
i ulgowe stypendium pobierasz w kwesturze.
Jeszcze by profesor zdjęty twym widokiem
spojrzał ulgowo swym ulgowym zwrokiem
i patrząc w indeks zaczął tymi słowy:
"Czy panu ulgowy?"

TADEUSZ DROŻDA

* * *

Jak można tworzyć dzieła epokowe,
gdy dwóch geniuszy przypada na głowę.

PO PEWNYM WYKŁADZIE

Kto tyle ludzi
obudzi?

NA PIEKNĄ

Wyglądała jak Wenus z Milo
plus ... czterdzieści kilo.

TADEUSZ DROZDA

OTRZĘSINY

"Król"otrzęsin /dziekan Wydz.Chemii/ ze swą świtą

fot.A. Milli

na Wydz. Elektroniki fot. J.Brzózka

Wydz. Mechaniczno-Energetyczny fot.R.Makowski